



BJ James



*Jefferson Cade
dotrzymuje słowa*

Tytuł oryginału

The Redemption of Jefferson Cade

PROLOG

Ten dziki ostep był jego królestwem. Jako chłopiec przychodził tu, kiedy było mu smutno - aby się pocieszyć. Gdy stał się mężczyzną, bywał tu nadal w poszukiwaniu spokoju.

Jefferson Cade siedział na drzewie i obserwował rajską przyrodę - las, bagienne trawy, zarośla. Niewielu znało te okolice tak dobrze jak on. Kochał ją. Zbudował sobie kiedyś domek na porośniętym mchem drzewie i teraz podziwiał z niego lato panujące na nadbrzeżnej nizinie amerykańskiego Południa.

W dole nad powierzchnię stawu wyskoczyła ryba, płosząc jelonka, który akurat pochylił łebek, żeby się napić. Jefferson uśmiechnął się na widok uciekającego zwinnie zwierzęcia. Po chwili zauważył ukrytą w cieniu karłowatej palmy kobietę. Nie poruszała się, a on czekał. Zwrócił uwagę, jak bardzo się zmieniła, a, z drugiej strony, pozostała taka jak zawsze. Kiedy przyjechała z Argentyny na studia i zamieszkała w pełnym uroku mieście Belle Terre, była młodziutką dziewczyną. Uwielbiała polować, łowić ryby, zajmować się końmi i była w tym wszystkim tak dobra, jak najlepsi mężczyźni. Stała się oszałamiająco piękną kobietą. Była także najlepszą przyjaciółką Jeffersona.

Podeszła bliżej.

- Marissa - szepnął. - Marissa Claire!...

Milczeli dość długo. Jefferson rysował w szkicowniku, aż w końcu podszedł do Marissy i przysiadł na podłodze, czekając, aż

dziewczyna powie mu, jaki kłopot sprowadził ją do domku na drzewie.

Pozdrowiła go dziś mniej ciepło niż zwykle. Widać było, że jest spięta, a rozmowa się nie kleiła.

- Hej, leniuchu, pójdziemy na ryby? - odezwał się. Popatrzyła na niego. Wiedziała, że trzeba w końcu powiedzieć mu, o co chodzi.

Jefferson jeszcze nigdy nie widział jej w takim stanie ducha. Rzadko się zdarzało, żeby dzwoniła do niego w południe i prosiła, żeby spotkali się w tym miejscu. A tego dnia wyjątkowo milczała, pogrążona w myślach. Coś się musiało stać.

- O co chodzi, Marisso? - spytał Cade. - Dlaczego chciałaś, żebyśmy się teraz zobaczyli?

Wzruszyła ramionami. Jefferson czekał jeszcze chwilę.

Marissa Claire Alexandre, nazywana przez wszystkich - oprócz niego - Merrie, przyjechała do Belle Terre przed czterema laty. Przysłał ją tu ojciec, który chciał okiełznać narwaną córkę. Miała nauczyć się zachowywać jak dama z amerykańskiego Południa. W tym celu opiekowała się nią Eden Cade, u której Marissa zamieszkała. Dziewczyna przyswoiła sobie dobre maniery, ale nie zatraciła zamiłowania do wiejskiego życia ani pasji do koni.

Przyjaźń z Jeffersonem zaczęła się właśnie od tego, że wzajemnie zachwycili się swoimi umiejętnościami w obchodzeniu się z końmi. Potem okazało się, że łączą ich także inne zainteresowania, aż w końcu zaczęli dzielić się swoimi radościami i smutkami.

Marissa miała dwadzieścia jeden lat, Jefferson - dwadzieścia dziewięć. Zawsze żył w pojedynkę, nigdy w nikim się nie zakochał -

aż wreszcie zakochał się w Marissie. Mocno, ale bez wzajemności. Pocieszał się tym, że uwielbiana przez niego dziewczyna kocha go przynajmniej jako przyjaciela.

Wiedzieli jednak, że zostaną rozdzieleni. Po spędzeniu pięciu lat w Stanach Zjednoczonych, ojczyźnie jej matki, Marissa miała wrócić do Argentyny. Zawsze mówiła tylko, że musi, nie wyjaśniając, dlaczego. Jefferson nauczył się z tym żyć.

Opanowując pożądanie, dotknął jej i odwrócił ku sobie. W oczach miała łzy.

- Hej, co się stało, malutka? Czy mogę ci w czymś pomóc?

Marissa patrzyła na niego, starając się jak najlepiej zapamiętać jego piękne rysy. Nie zdawał sobie sprawy z tego, jak działa na kobiety jego czarujący uśmiech, delikatność, uprzejmość. Nie wiedział też, że stała przed wielkim życiowym dylematem. Radził jej, żeby spędzała więcej czasu z kolegami ze studiów, bo z nim, pośród dzikiej przyrody, nie znajdzie swojego księcia z bajki. Tymczasem nie miał pojęcia o tym, że została obiecana komu innemu.

Właśnie z Jeffersonem i w Jeffersonie, tutaj, pośród leśnej głuszy, odnalazła swojego księcia z bajki. Ale musiała wypełnić obietnicę, którą złożył jej ojciec.

- I tak musiało się stać to, co się wkrótce stanie - powiedziała. - Ale nie sądziłam, że już zaraz.

- Co się stanie, Marisso?

- Pożegnamy się i wyjadę. Jefferson znieruchomiał.

- Ale... Przecież został ci jeszcze rok studiów.

- Tak było uzgodnione. Ale stało się inaczej. Ojciec wezwał mnie do domu.

- Kiedy wyjeżdżasz?

- Jutro. - Marissa nie była w stanie powstrzymać łez. Jefferson objął ją odruchowo i zaprotestował:

- Nie!... Jeszcze nie!.... Dlaczego?...

Ona także mocno go objęła. Kiedyś opowie swoim przyszłym dzieciom o tym miejscu i o niezwykłym mężczyźnie, który zbudował domek na drzewie. Synom powie, jaki był męski, jakie miał przygody, jak świetnie znajdował wspólny język ze zwierzętami, a nawet z roślinami. Córkom powie o jego delikatności, czułości i urodzie. Czy domyśla się jej uczuć?

Na razie mieli z Jeffersonem spędzić razem jeszcze jeden, ostatni dzień.

- Boże!... - szepnął, wpatrzony w nią. Nagle zaczął wierzyć w to, w co nie ośmielał się wierzyć do tej pory.

Nie odwracała wzroku. Przynajmniej teraz nie będzie ukrywała, co do niego czuje.

- Nie wyjeżdżaj, Marisso. Zostań ze mną - powiedział niespodziewanie dla samego siebie.

Westchnęła.

- Nie mogę. Istnieje pewien człowiek, któremu mój ojciec jest winien ogromną sumę. Zostałam obiecana temu człowiekowi zamiast spłaty długu; dawno temu.

- Obiecana?!... Czy ty go kochasz? Czy dobrze rozumiem to, co widzę teraz w twoich oczach?

- Prawie go nie znam... To zostało załatwione jako zwykły interes. On chciał mieć żonę i zdecydowano, że to ja nią zostanę.

Jefferson aż wbił palce w ramiona Marissy.

- Co będziesz z tego miała?!

- Ja - nic. Za to moi rodzice będą mogli żyć sobie tak samo jak do tej pory.

- Twój ojciec sprzedał cię, żeby zachować bogactwo?!

- Owszem. Tak to można nazwać. Zamożni ludzie czasem handlują czyimś życiem, miłością, nawet swoimi dziećmi. Ojciec był zdesperowany. Mama ciężko zapadła na zdrowiu. To przez wzgląd na nią zdołał wynegocjować te pięć lat, jakie miałam spędzić w Belle Terre. W zamian miałam stać się damą taką jak Eden. Ale ojciec niecierpliwi się, bo chciałby spłacić już dług. To dla niego sprawa honoru.

- Honoru?!

- W moim kraju aranżowanie przez rodziców małżeństwa nie jest rzadkością, zwłaszcza w takich rodzinach jak moja. Mój ojciec od urodzenia aż do dzisiaj żyje w ogromnym bogactwie. Zdążyłam już zauważyć, że im bardziej ekstrawaganckie życie ktoś prowadzi, tym trudniej mu się z nim, choćby częściowo, pożegnać. Tutaj uważa się uzgodnione przez rodziców małżeństwo za okropną podłość. Ale w świecie mojego ojca jest inaczej - on uważa, że zrobił dla swojej rodziny to, co najlepsze. Kocham moich rodziców. Mogłabym przeciwstawić się tacie, ale moja mama jest w coraz gorszym stanie i prawdopodobnie będzie to trwało jeszcze przez lata. Dlatego nie przeciwstawię się.

Jefferson przesunął niespokojnie dłonią po jej twarzy.

- Czy mogę ci w czymś pomóc? - spytał.

- Tak. Mógłbyś się teraz ze mną kochać. Jefferson czuł się, jakby ktoś ścisnął mu pierś imadłem.

- Nie - usłyszał z własnych ust, chociaż bardziej niż czegokolwiek na świecie pragnął kochać się z Marissa. - Nie zdajesz sobie sprawy z tego, jakie by to miało skutki!

- Zdaję sobie sprawę. Przemyslałam wszystkie możliwe skutki. Wyjdę za tamtego człowieka, zrobię to dla mojej rodziny. A proszę cię, żebyś się ze mną kochał... dla mnie... - Marissa przesunęła palcami po twarzy Jeffersona i zatrzymała je na jego ustach. - Czy to źle, przeżyć swój pierwszy raz z człowiekiem, któremu na tobie zależy? Czy to przestępstwo pożądać ciebie, Jeffersonie? A pragnę cię.

- Ale... - Cade usiłował pozostać przy zdrowych zmysłach.

- Nic nie mów. Wiem, czego pragnę. Chcę, żeby po raz pierwszy mojego ciała dotykały twoje dłonie. Nie mogę zmienić swojej przyszłości. Ale będę w stanie ją przeżyć, jeśli dasz mi to wspomnienie. Jeśli przez chwilę udasz, że kochasz mnie nie tylko jak przyjaciółkę.

- Nie! - Jefferson aż wstał. Marissa nie zrozumiała, ale chciał przez to powiedzieć, że wcale nie będzie udawał. Wiedział, że jej nie odmówi. Nie był w stanie ani myśleć, ani zachowywać się mądrze. - Marisso!... - Wyciągnął powoli dłoń i popatrzył na jej twarz. Dawał jej w ten sposób okazję do wycofania się. Chciał zadać jej pytanie, ale nie był w stanie go wypowiedzieć. - Weź mnie za rękę - wymówił

powoli. - Ale tylko wtedy, jeśli rzeczywiście mnie pragniesz. Tylko wtedy, jeżeli jesteś pewna.

W jej oczach błysnął promyk nadziei.

- Jestem pewna. - Ujęła jego dłoń. - Nigdy w życiu nie byłam tak pewna.

Przyłgnęli do siebie. Jefferson wiedział, że powinien jej zadać ważne pytania i wypowiedzieć poważne ostrzeżenia, ale stracił rozsądek. Nie wycofał się już.

W milczeniu zaczął ją rozbierać, powoli, kusząco, odsłaniając jej ciało po kawałeczku. Aż się prosiło, żeby go dotykać, całować i pieścić.

W końcu Marissa stanęła przed nim całkiem naga, okryta tylko płaszczem długich, gęstych, ciemnych włosów. Jefferson zobaczył, że jest jeszcze piękniejsza, jeszcze bardziej pociągająca, niż sobie wyobrażał. Przesunął dłonią po jej ciele, a potem zaczął rozbierać się sam.

Teraz i on był nagi. Rozumiał, że Marissa jeszcze nigdy nie robiła tego, co miała teraz uczynić. Ujął jej dłonie, podniósł je do ust, ucałował i szepnął:

- Nie bój się, kochanie.

Pociągnął ją leciutko ku sobie, nachylił się i pocałował za uchem. Zamruczała z przyjemności. Przesunął palcami w dół jej szyi i niżej, zaczął pieścić jej piersi. Wkrótce pociągnął ją na podłogę i znowu zaczął całować. Był doświadczonym kochankiem.

Dotąd zawsze wystarczał mu seks dla samego seksu. Teraz, pogrążając się z Marissa coraz głębiej w rozkoszy, poczuł, że odtąd

będzie pragnął kochać, i to tylko ją, nikogo innego. Ani ona, ani on nie zapomną nigdy tej chwili. Oboje będą ją wspominać i marzyć.

Jefferson obudził się i zobaczył, że Marissy nie ma. Zamiast niej na podłodze leżała tylko chustka, którą miała związane włosy.

Wciągnął spodnie i ruszył do wyjścia nadrzewnego domku. Marissa była nad stawem.

- Nie schodź! - zawołała. - Nie zniosę pożegnania!

- Zostań! - zawołał bezradnie, zatrzymując się. Wrzuciła do wody kamień.

- Było tak cudownie! - powiedziała. - Pomyślałam sobie teraz dwa życzenia.

- Jakie?

- Pierwsze, żebyś mnie nie zapomniał.

- A drugie? - spytał.

- Życzyłam sobie niemożliwego.

- Może to nie jest niemożliwe, malutka.

Przestała się uśmiechać.

- Jest. Życzyłam sobie, żebyśmy się znowu spotkali, ale jak mogłoby do tego dojść? Mam jeszcze trzecie życzenie, ale nie powiem ci, jakie. - Rzuciła kamień. - Zegnaj, Jeffersonie. Nigdy cię nie zapomnę. Ani tego dnia.

Jefferson czuł się, jakby ktoś ugodził go nożem prosto w serce.

- Marisso - zawołał. - Odwróciła się. - Gdybyś kiedykolwiek mnie potrzebowała... przyjadę, żeby ci pomóc.

- Wiem. - I odeszła.

Padał rześisty deszcz. Rozpętała się burza. Jefferson popatrzył na pokój, w którym kochali się z Marissa. Chciał dobrze zapamiętać to miejsce. Kiedyś je namaluje na podstawie swoich szkiców i wspomnień.

Bywał w tej okolicy tak często, od dziecka, spędził tu tyle czasu... Ale nie przyjdzie do domku na drzewie już nigdy.

RS

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Cześć, przystojniaku - powitała ulubionego klienta właścicielka lokalu. Jefferson Cade odstawił szklanę i dotknął swojego kowbojskiego kapelusza.

- Dobry wieczór pani.

Cristal Lane wzięła go pod rękę i spytała:

- Co dziś sprowadza naszego dżentelmena do miasta? W tym rejonie Arizony, gdzie na starych ranczach od wieków mieszkali ludzie o tych samych nazwiskach, Cristal była uważana za nowo przybyłą, choć od ładnych paru lat prowadziła najpopularniejszy saloon w Silverton. Wiedziała, że doroczny, wiosenny pokaz koni i bydła przyciąga do miasta okolicznych ranczerów. Sprowadził także Jeffersona, z Broken Spur w kanionie Sunrise. Lane wiedziała jednak, że Cade jest samotnikiem, więc może to nie chodzi o pokaz bydła?

- Pewnie ktoś sprzedaje wyjątkowego konia, skoro wystawiłeś nos ze swojej nory? - zagadnęła znowu.

- Tak myślisz? - Milczał. Pograżył się w rozmyślaniach.

Sprowadził się ponownie do Arizony przed czterema laty. Pracował u Jake'a Benedicta na ranczu Rafter B, a teraz u Steve'a Cody'ego, właściciela Broken Spur. W ciągu tych czterech lat nie był z żadną kobietą, nie dotykał namiętnie żadnej, nie spotykał się z nikim. Ledwie powiedział kilka komplementów tej czy tamtej. Najszczęśliwszy czuł się w samotności.

- Tak. Myślę, że tak - zamruczała Cristal. - To musi być jakiś niesamowity koń.

Przypomniało to Jeffersonowi, jak kiedyś Lane wypowiedziała śmiałe spostrzeżenie: „To musiała być niesamowita kobieta, skoro zniechęciła cię do wszystkich innych.” Nigdy więcej na ten temat nie rozmawiali, ale Cade wiedział, że Cristal nawiązuje do tamtej wypowiedzi. Patrzyła na niego.

Przez chwilę spoglądali sobie w oczy, po czym Jefferson odwrócił się. Jego piękna męska twarz nabrała cech dojrzałości, co czyniło go jeszcze przystojniejszym niż dawniej. Pierwsze oznaki siwizny pośród jego ciemno-blond włosów dodawały mu tylko uroku. Kiedy się uśmiechał, był wprost porażająco przystojny.

Nie był głupcem. Zauważył, że w krótkim czasie po osiedleniu się koło Silverton zwrócił na siebie uwagę wielu kobiet. Był jednak na nie całkowicie odporny. Na najbardziej nawet bezpośrednie próby flirtu odpowiadał jedynie miłym słowem i uśmiechem. Udawał, że jest zawstydzony takim powodzeniem, ale to tylko je zwiększyło. Z upływem lat nawet najbardziej zdeterminowane adoratorki zrozumiały, że nie mają szans na jego względy, pozostawały jednak jego koleżankami czy wręcz przyjaciółkami.

Cristal akurat bardzo go lubiła, ale nie zamierzała podbijać. Była dobrym i mądrym człowiekiem i Jefferson zaprzyjaźnił się z nią bardzo.

- Skoro to nie koń, to po co mogłeś tu przyjechać? - ciągnęła. - W twoim życiu nie ma nic innego. Nie pozwalasz sobie na nic innego z powodu pewnej kobiety z przeszłości.

Zmrużył oczy, pokazując, że ten temat go męczy. Cristal postanowiła jednak kontynuować.

- Czy przestałeś o niej myśleć? - O kobiecie, którą kiedyś kochałeś i straciłeś? Czy jesteś w stanie przestać o niej myśleć? Czy może co rano przypominasz sobie, jak wyglądała, jak się uśmiechała i jak pachniała?

- Myślę - odparł grzecznie Jefferson, patrząc na Cristal - że muszę już iść spotkać się z pewnym człowiekiem, w sprawie konia. Do zobaczenia... - Uchylił kapelusza.

- Spokojnie. Nic ci nie będzie. Już nic złego ci nie zrobią - szeptał Jefferson do niespokojnej klaczy, którą sprowadzał z naczepy. Nie dziwił się. Nawet jeśli traktowano konia właściwie, nieznanne otoczenie i hałas musiał go denerwować. Klacz wystawiono na sprzedaż po niskiej cenie jako trudnego konia. Cena była niewątpliwie okazyjna, ale zapewne charakter zwierzęcia daleko odbiegał od przeciętnej. Jefferson pojechał na ranczo, gdzie ją hodowano, żeby ją obejrzeć. Zabrał ze sobą Sandy'ego Gannona z Rafter B, który był wyjątkowym ekspertem od koni. Obaj stwierdzili, że młoda klacz ma odpowiednie pochodzenie i wygląda świetnie. Właściciel zauważył jednak, że mogą nie znaleźć kogoś, kto okiełzna to zwierzę. Sandy odpowiedział, że jeśli nie uda się to Jeffersonowi Cade'owi, to znaczy, że to w ogóle niemożliwe.

Sandy wiedział, co mówi. Kierował ranczem Rafter B; Cade pracował tam trzy lata, z czego przez dwa ostatnie był zastępcą Sama. Rok temu Steve i Savannah Cody'owie zatrudnili Jeffersona jako rządcę swojego ranczo. Gannon gderał, że traci tak świetnego

pracownika, ale stwierdził, że niewątpliwie ma on odpowiednie kwalifikacje.

Jefferson wprowadził źrebicę do stajni, cały czas do niej mówiąc. Sprawdzał inne konie i wyszedł na dwór. Po pracowitym dniu miło było popatrzeć chwilę na wschód księżyca.

Kanion był piękny. Jefferson trafił tu po raz pierwszy jako nastolatek, żeby oderwać się od nieznośnej atmosfery swojego domu. Dziesięć lat później znalazł się tu znowu, i zauważył, że okolica jest równie piękna jak nadbrzeżna nizina wokół Belle Terre. Był wrażliwy na piękno, miał zdolności malarskie; podziwiał urodę kanionu, tak różną od bagien Południa. Teraz domem Jeffersona była pustynia, ale myślał ostatnio o miejscu, z którego pochodził. Może dlatego, że ostatniej zimy, po latach zaniedbania, wyciągnął swoje stare szkice i znów zaczął malować.

W odnowionej chacie na sztalugach czekał kolejny obraz. Malowanie uspokajało Jeffersona.

Wrócił do półciężarówki, żeby przejrzeć pocztę. Pisali do niego tylko członkowie rodziny. Cenił to bardzo, ale i tak jeździł na pocztę niezbyt często. Dziś przywiózł spory pakiecik listów; musiał dawno tam nie być.

Pielegnował kontakt ze swoimi braćmi. W razie jakiegoś wypadku rodzina miała kontaktować się z Sandym z farmy Rafter B, który przekaże wiadomość telefonicznie albo poprzez jeźdźca. Brak tego rodzaju sygnałów oznaczał, że wszyscy są żywi i zdrowi.

Zagwizdał i zza domu wybiegł pies. Skoczył radośnie prosto na pierś Jeffersona. Mężczyzna przewrócił się; listy rozsypały się na

ziemię. Potężny, czarny jak smoła stwór pokazał zęby w psim uśmiechu, po czym zaczął lizać swojego pana po twarzy długim, różowym językiem. Jefferson roześmiał się i mruknął:

- Jak rozumiem, cieszysz się, że mnie widzisz, Szatan. Mam nadzieję, że następnym razem będziesz się cieszył trochę mniej. - Szatan, który pilnował rancza, był teraz gotów do zabawy. Złapał Jeffersona zębami za dłoń. Mógłby ją z łatwością zmasakrować, ale pomimo groźnego wyglądu, był równie łagodny jak jego pan. Tak samo łagodne były wszystkie stworzenia, które szkolił Jefferson Cade. Zabawa w pozorowany atak zaczęła się, kiedy wielki doberman był jeszcze szczeniakiem. Trzeba go było nauczyć, że jest zbyt niebezpieczna. Jefferson dał psu leciutkiego szturchańca na znak, żeby go puścił, i powiedział: - Ktoś mógłby źle cię zrozumieć i zastrzelić.

Zwierzę odbiegło parę metrów i patrzyło na pana, ciekawe, czy będą bawić się dalej.

Cade podniósł się, otrzepał ubranie i pozbierał listy.

Omam nie przeoczył brązowej koperty, podobnej w kolorze do piaszczystej ziemi. Podniósł ją. Była cięższa niż zwykły list; stempel był zamazany; nie zawierała adresu nadawcy.

- Co to może być?

Szatan zaszczekał i ruszył w stronę chaty.

- Masz rację - zgodził się Jefferson. - Trzeba to otworzyć.

Pies zazwyczaj nie chciał wchodzić do chaty, ale tego wieczora wszedł za Jeffersonem.

- Szatan, odejdz! - rzucił Cade. - Nic tu nie ma. - Oprócz wspomnień z przeszłości, dodał w myśli. - Leżeć. Przeczytam listy, a potem zjemy kolację.

Doberman natychmiast odszedł i położył się przed kominkiem. Jefferson wysypał listy na stół i sięgnął po brązową kopertę. Szatan zaskomlał.

- Hej! - Jefferson poruszył listem to w lewo, to znów w prawo. Pies nie odrywał wzroku od koperty. - Dlaczego ta przesyłka cię niepokoi?

Cade był przekonany, że zwierzęta są wyczulone na pewne rzeczy, których ludzie nie dostrzegają. Niektórzy mogli się z tego śmiać, ale on doświadczył tego sam. Kiedyś do stajni wpełzł grzechotnik i ukąsił żrebaka. Wówczas Szatan, wtedy prawie szczeniak, przybiegł i zaczął dobijać się do drzwi chaty. Obudził Jeffersona, a potem zaciągnął do stajni. Dzięki temu żrebak przeżył. Teraz, ze względu na Szatana, Jefferson otworzył kopertę drżącymi rękami.

- Co to jest? - Zobaczył drugą kopertę. Otworzywszy ją, znalazł trzecią. Omal nie wrzucił całej przesyłki do kosza, uznając, że to czyjś głupi dowcip. Przypomniawszy sobie jednak zachowanie psa, rozdarł i trzecią kopertę.

Zobaczył czwartą. Wypisane było na niej nazwisko. Jego nazwisko. Skreśliła je ręka, którą od razu rozpoznał. Jefferson był oszołomiony. Zdawało mu się, że to jakiś okrutny żart. Wyciągnął dwie kartki papieru i po chwili już wiedział, że sprawa jest bardzo poważna. Pierwsza kartka była wycinkiem z gazety. Drugą - wyrwano

z notatnika. Były na niej tylko cztery słowa, napisane tym samym charakterem pisma, co nazwisko na kopercie.

Oddychając z wysiłkiem, Jefferson odczytał na głos króciutką, ale jakże znaczącą treść. Były to jego własne słowa, które wypowiedział niegdyś, dawno temu.

„Gdybyś kiedykolwiek mnie potrzebowała...”

To obietnica, jaką złożył Marissie.

Wycinek z gazety wyjaśniał, co się stało. Pochodził sprzed miesiąca. Artykuł głosił: „Zaprzestano poszukiwań samolotu Paula Reia. Na pokładzie maszyny znajdował się pan Rei, jego żona Marissa Claire, z domu Alexandre, oraz jej rodzice.” Dalej następował opis, kim byli i czym zajmowali się państwo Rei. Kartka wypadła jednak Jeffersonowi w z ręki. Popatrzył na stojący na kominku portret i powtórzył na głos zdanie, które było dla niego najważniejsze:

- „Ustalono, że nikt nie mógł przeżyć katastrofy”. -Nikt nie mógł przeżyć! Jefferson był jak porażony. Odczytał jeszcze raz słowa swojej obietnicy, jakby w nich szukając ratunku. Tylko Marissa знаła te słowa.

Czy to jakaś okrutna gra, czy też prawda? Jeśli prawda, to kto, jeżeli nie Marissa, wysłał ten list? Skąd wiadomo, że znajdowała się na pokładzie samolotu?

W głowie Jeffersona kłębiły się myśli. Ciągle dochodził do tego samego wniosku: list na pewno wysłała Marissa. Jeżeli nie ona, znaczyłoby to, że nie żyje.

- Nie! Wiedziałbym o tym! Czułbym to - wymówił. A może tylko mu się zdawało, że by czuł? Niby jakim sposobem?

- Zostań! - polecił psu, po czym wrócił do sypialni. Otworzył szufladę stolika i wyjął z niej jedwabną chustkę. Chustkę Marissy, przywołującą nieodmiennie wspomnienie dnia, kiedy się kochali. To niezwykle, ale ciągle wyczuwał na drogocennym dla siebie kawałku materiału ślad zapachu jej perfum.

Ileż to razy Marissa nosiła włosy przewiązane tą jaskrawą, odcinającą się od ich czerni chustką? Pamiętał, jak wspaniale jeździła konno, a jej wyjątkowe ciało poruszało się w harmonii z ciałem konia. Jak kochała się z nim. Jak odchodziła po raz ostatni, smutna. Tak bardzo pragnął z nią być. A ona z nim. Życzyła sobie, żeby jej nie zapomniał -co miała zagwarantowane - i żeby znowu się spotkali. I jeszcze czegoś, czego mu nie powiedziała.

- Boże!... - Nie zapomni niczego, ale myślał, że pogodził się już z utratą Marissy i przestał cierpieć. Był jednak w stanie namalować jej portret i to go ukoilo.

Nic z tego. Cristal miała rację. Ciągle kochał Marissę.

Tak samo, jak nigdy nie pozbył się poczucia winy z powodu tego, że częściowo w wyniku jego działań jego rodzony brat, Adams, znalazł się w więzieniu. Było to traumatyczne doświadczenie, które zmieniło bieg życia Jeffersona. Swoją nieprzemyślany postępek popełnił jako nastolatek i potem już nigdy nie czuł się we własnym domu normalnie. Uciekał z niego na bagna. Wiele lat później stracił Marissę i odtąd nawet na swoim ulubionym bagnie, w domku na drzewie, nie mógł odnaleźć spokoju. Przypomniawszy sobie ból z powodu jej utraty. Dopiero teraz zrozumiał, dlaczego tak naprawdę wyjechał z Południowej Karoliny. Przez poczucie winy oraz straconą miłość. W

Arizonie odnalazł spokój. Aż do tej chwili. Jeśli przesyłkę nadała Marissa. Czuł, że tak. Chociaż nie zaszkodzi opinia eksperta.

- Szatan, chodź! - polecił. Pies doskoczył do niego. Jefferson podstawił mu pod nos chustkę Marissy. - Podaj!

Doberman odbiegł i po chwili wrócił, trzymając w pysku kartkę z notatnika, która przysłała w przesyłce. Cade pogłaskał psa. Jego nieporównanie wrażliwszy od ludzkiego węch potwierdził, że chustka i kartka zawierają ślad tego samego zapachu.

Znaczyło to, że Marissa żyje.

Jefferson wrócił do stołu i usiadł, oszołomiony. Odczuwał ulgę i współczucie dla Marissy. Tyle przeszła, tak wiele straciła! Siedział długo, wpatrując się w portret. Czas nie miał teraz znaczenia. Nic nie miało znaczenia, tylko ona i to, że żyje.

Wiedział, że Marissa nie wysłała listu tylko po to, żeby powiadomić go o śmierci najbliższych.

„Gdybyś kiedykolwiek mnie potrzebowała...”

- ...przyjadę, żeby ci pomóc - dokończył Jefferson. Było jasne, że Marissa jest w niebezpieczeństwie. Potrzebowała pomocy Jeffersona.

- Ale gdzie jesteś, kochanie?! Jak mam cię szukać?

- Pomyślał, że odpowiedź znajdzie w wycinku z gazety.

Kilkanaście minut później połączył się przez telefon z Jericho Riversem, szeryfem rodzinnego Belle Terre.

- Przyjeżdżam do Belle Terre - oznajmił Jefferson.

- Muszę spotkać się z tobą i z Yanceyem Hamiltonem.

Szeryf słyszał ze swoich niezwykłych policyjnych instynktów. Nie pytał, o co chodzi, tylko o to, kiedy i gdzie mogą się spotkać.

Następnie Jefferson odbył jeszcze dwie rozmowy miejscowe. Pierwszą - z Sandym Gannonem. Ten także nie zadawał zbędnych pytań. Cade ufał, że obaj mężczyźni zrobią, co należy.

Ostatni telefon połączył Jeffersona z biurem linii lotniczych, którymi latał. Usiadł przed zimnym kominkiem. Dawno temu list zmienił bieg życia jednego z jego braci, Lincolna. Teraz inny list odmieni jego własne życie. Pogłaskał psa i powiedział:

- Szatan, Sandy znajdzie kogoś, kto będzie prowadził ranczo i zajmował się tobą. Ale wrócę. Nie wiem kiedy, i co się zmieni; jednak wrócę.

Samotna kobieta szła przez pustą równinę. Był wczesny poranek. Wicher szarpał jej ubranie i plątał włosy. Nie zwracała na to uwagi.

Niegdyś czuła, że ta słabo zaludniona kraina jest jej domem. Była tu szczęśliwa. W kraju potężnych gór, ogromnych pustyń, rozległych równin i skalistych wybrzeży. Kochała jego piękno. Teraz szła przed siebie, wiedząc, że ten dzień będzie po prostu kolejnym samotnym dniem. Była pogrążona w żałobie. Marissa Claire Alexandre Rei nie czuła już radości.

Na jej ramieniu oparła się ciepła dłoń.

- Czy dobrze się czujesz, mała Risso?

Mężczyzna mówił znakomicie po angielsku, z leciutkim hiszpańskim akcentem. Nie wystraszył jej, widziała, że podchodzi.

- W porządku, Juanie - odpowiedziała, patrząc w jego czarne oczy. - Nic mi nie jest.

- Kogo chcesz oszukać, siebie czy mnie? - spytał łagodnie, cofając rękę.

Roześmiała się głucho.

- Nikogo.

- Nie możesz spać. - Juan ruszył za nią. - Nie spacerujesz tak jak kiedyś, dlatego, że podziwiasz piękno tej okolicy o świcie.

Szli, milcząc. Marissa знаła Juana od urodzenia. To on pierwszy wsadził ją na konia, kiedy miała pięć lat, a on kilkanaście. On zaszczepił w niej miłość do koni. Juan Elia był współczesnym gaucho. Potomkiem sławnych argentyńskich koczowniczych jeźdźców. Kiedy pojawiły się estancias, czyli rancza, gauchowie osiedlili się na nich i zaczęli pracować u ich właścicieli. Tak było i z rodziną Elia, która od niepamiętnych lat pracowała u rodziny ojca Marissy. Styl życia gauchoów zmienił się, ale pozostali ludźmi o nieugiętym charakterze i pracowali z końmi. Byli także nadzwyczaj lojalni.

Dlatego właśnie Juan pozostawał tu, w ukrytym obozowisku na równinie, zamiast wrócić do żony i trzyletniego synka.

- Wszystko się zmieniło od czasów, kiedy zabierałeś mnie tu jako młodziutką dziewczynę.

- Kiedy chciałaś być prawdziwą koczowniczką? - Elia zachichotał. - Zanim rodzice wysłali cię na południe Stanów Zjednoczonych, żebyś została damą?

- Czy dorastanie sprawia, że wszystko blednie? - spytała.

Zatrzymał ją. Dotknął jej policzka. Popatrzyła na jego dość przystojną, indiańską twarz.

- To śmierć i poczucie winy sprawiły, że piękno tej ziemi zbladło dla ciebie - powiedział. - Nie mogłaś zapobiec ich śmierci. I nie powinnaś czuć się winna.

- Miałam lecieć tym samolotem!...

- Ale z powodu chorego dziecka, mojego dziecka, nie poleciałaś. Przecież to nie ty posłałaś swoich rodziców i męża na śmierć. Zrobił to ten, kto podłożył bombę.

- Wiadomo, że samolot nagle zniknął z pola widzenia radaru, ale to jeszcze nie oznacza, że z powodu bomby! - odpowiedziała Marissa. Nie chciała wierzyć w to, że samolot jej męża rozerwała bomba.

- Ja wiem, że to była bomba - oznajmił stanowczo Juan. —I wiem, kto ją podłożył. I wiem, dlaczego.

- Nie! - Marissa próbowała się odwrócić, ale przyjaciel nie pozwolił jej na to.

- To nie twoja wina - powtórzył. - Wyszłaś za mężczyznę ponad dwa razy starszego od siebie. Może go nie kochałaś, ale byłaś wobec niego lojalna. Nie masz się o co oskarżać. Nie twoja wina, że człowiek o wielkich możliwościach pożąda ciebie i majątku twojego męża. Nie twoja wina, że przymuszał go do złego. Ze postanowił ukarać ciebie i tych, których kochałaś, za wierność zasadom. I na pewno to jego, a nie twoja wina, że ich zamordował.... Dzięki twojej dobroci moje dziecko żyje. A twoi najbliżsi zginęli z ręki złego człowieka.

- Hipotezę o bombie szybko odrzucono - przypomniała Marissa.

- Tak. Ale jednak padło ostrzeżenie. Menendez jest przekonany, że wszystkich, którzy o nim wiedzieli, uciszył na zawsze.

- Jeśli odkryje, że żyję, odkryje jednocześnie, że to ty mnie ukryłeś. Domyśli się, że wszystko wiesz i twoje życie także będzie zagrożone... - Marissa zadrżała ze strachu o przyjaciela, który był jej niemal bratem.

- Nie... Dla świata jestem tylko gaucho, który żył i pracował w posiadłości twojego ojca. Kto mógłby podejrzewać, że szesnastoletni chłopak zaprzyjaźnił się z pięcioletnią dziewczynką? Kto by uwierzył, że taka wielka dama jak señora Rei pomagała przy porodzie mojego tak długo oczekiwanego pierwszego dziecka? I że to dziecko swoje imię nosi na jej cześć?

- Ale jeżeli...

- Wyjedziesz stąd na długo przedtem, zanim Menendez mógłby dowiedzieć się, że żyjesz. A my - moja Marta, Alejandro i ja - będziemy żyli tak samo, jak zawsze. I ty, Risso, będziesz bezpieczna.

Marissa przesunęła dłonią po twarzy, zmęczona.

- Czy Jefferson przyjedzie? Czy będzie pamiętał o swojej obietnicy, złożonej lata temu?

- Jeśli jest choćby w połowie taki, jak opowiadałaś, na pewno pamięta o tobie i przyjedzie.

- Nie wiadomo, czy otrzymał wiadomość przesłaną przez tyle osób. I czy był w stanie ją odszyfrować? Ten artykuł po drugiej stronie gazety mógł nic mu nie powiedzieć. Może wcale go nie przeczytał.

- Przeczytał albo przeczyta. Na pewno przeczyta każde słowo. Będzie to robił tak długo, aż zrozumie, bo wie, że nie ma innego wyjścia. Zauważy znaczki i ułoży z nich słowa. Przyjedzie do posiadłości, a o resztę zatroszczy się Marta. -I nareszcie znajdziesz się w ramionach mężczyzny, którego kochasz, dodał w myśli Juan.

RS

ROZDZIAŁ DRUGI

- Co się, do licha, stało?!

I tak łoskot śmigłowca uniemożliwiłby pilotowi odpowiedź na pytanie Jeffersona. Pilot przedstawił się jako Rick Cahill, kolega Jericho Riversa. Niczego nie wyjaśniał, tylko obserwował pilnie otoczenie za szybą.

Od razu kiedy Jefferson zobaczył o brzasku nisko i szybko lecącą kanionem monstrualną maszynę, wyczuł, że znajduje się ona w rękach eksperta. Ocena ta pogłębiła się, kiedy śmigłowiec wylądował mięciutko jak ważka.

Jefferson siedział w kabinie i myślał o ostatnich dziwnych wydarzeniach. W ciągu niewielu godzin od otrzymania przesyłki od Marissy jego życie nabrało niespodziewanego tempa. Zaplanował, co robić, zarezerwował bilety lotnicze. Kiedy inni mieszkańcy rancza położyli się już spać, a on się pakował, zadzwonił telefon. Cade rozpoznał głos Billy'ego Blackhawka, szeryfa Silverton, Zaszokowała go oficjalna formuła przedstawienia się przez szeryfa, a potem powód jego telefonu. Mimo że Jefferson znał Billy'ego, nie wiedziałby, czy wiadomość, jaką Blackawk mu przekazał, była prawdziwa, gdyby szeryf nie powołał się na Jericho Riversa.

I tak trudno było Cade'owi powstrzymać się od zadania pytań, ale Billy obiecał, że wszystko wyjaśni się, kiedy przewiozą Jeffersona w pewne miejsce. Cade ufał Jericho oraz reputacji Blackhawka, jednak i tak się niepokoił. Oceniał, że dalsze próby wypytywania pilota

będą bezcelowe. Wyglądał więc przez okno. Śmigłowiec mknął po niebie. Był bardzo szybki.

W końcu wylądował na położonym na pustkowiu lotnisku. Jefferson myślał, że chodzi o tankowanie, ale Cahill wylądował jego torbę i dał znak, że wysiadają. Pobiegli do hangaru. Pilot dał pokrytą bliznami ręką sygnał, żeby Cade zaczekał, a sam zniknął za małymi drzwiami. Po krótkiej chwili wrota hangaru otworzyły się z rumorem, i Cahill wyszedł z powrotem, nagle uśmiechnięty.

- Udało nam się - powiedział.

- Co takiego?

- Doleciec tu bez przeszkód. Mamy nadzieję, że to znaczy, iż nikt nie wykrył, że list trafił do ciebie lub do Broken Spur.

Jefferson zmrużył oczy.

- A kto miałby to wykryć i przeszkodzić nam?

- Ci sami ludzie, którzy zestrzelili samolot Paula Reia. A dlaczego? - Na to będzie można lepiej odpowiedzieć, kiedy dotrzemy do końca podróży.

Jefferson zadrżał, na nowo czując śmiertelne zagrożenie.

- Załoga zaraz wróci, żeby oddać śmigłowiec właścicielowi ze względu na zakończenie przeglądu maszyny - ciągnął pilot. T Do tego czasu powinniśmy już odlecieć.

- Tym - dokończył Jefferson, patrząc na mały odrzutowiec. - Zapewne ten samolot także jest niby na przeglądzie.

- Nie, on jest akurat na sprzedaż. Wziąłem go, jako potencjalny kupiec, żeby go przetestować.

- Jednak nie kupisz go.

- Rzeczywiście, nie.

Kiedy wystartowali, Cahill był mniej spięty niż przedtem, ale zachowywał ciągłą uwagę. Mknęli ku wschodowi. Później przesiedli się w kolejny śmigłowiec. Rick znów był maksymalnie skoncentrowany, przelatując górskim terenem nad przełęczami wzdłuż rzeki. Minęli dwa wodospady, znajdując się w poprzecinanej strumieniami dolinie. W słońcu błyszczały blaszane dachy dwóch budynków. Wylądowali.

Na ziemi czekał już Jericho w towarzystwie Simona McKinziego, którego Jefferson spotkał raz w życiu. Szeryf był ogromnym, a przy tym szczupłym mężczyzną, o rodowodzie francusko-indiańskim. Jednak nawet on nie był w stanie przytłoczyć swoją obecnością sporo niższego i starszego od siebie McKinziego, siwowłosego człowieka o potężnych ramionach, który roztaczał wokół siebie aurę honoru i autorytetu.

W niewielkiej odległości czekał Yancey Hamilton -niegdyś największy rozrabiaka w Belle Terre. Obecnie był człowiekiem o tajemniczych i daleko sięgających koneksjach, ze względu na które Jefferson poprosił o jego pomoc. Obok Hamiltona stał kolejny nieoczekiwany uczestnik spotkania - Ethan Garrett, brat szwagierki Jeffersona. Ethan często znikał na dłuższy czas z niewyjaśnionych przyczyn. Patrząc na tych pięciu mężczyzn, Jefferson od razu widział, że wszyscy wykonują niebezpieczne zawody, co dzień ryzykując życie. I kierując się honorem.

- Niezły komitet powitalny - skomentował. - To z powodu niebezpiecznych ludzi z Argentyny?

- Czy to było pytanie? - odparł pilot.
- Stwierdzenie, Ricku.
- Tak myślałem. Czy znasz wszystkich?
- Oprócz pana McKinziego znam wszystkich osobiście. Chociaż, w tej chwili nie jestem pewien, czy ich znam.

Rick wstał z fotela pilota.

- Znasz ich naprawdę, ale teraz zobaczysz ich z innej strony niż dotąd. Ze strony, z której poznał nas Simon McKinzie, kiedy powoływał każdego z nas do Czarnej Warty.

- Panowie - podsumowuję - mówił McKinzie do zebranych w jego górskim domku mężczyzn. Członkowie Czarnej Warty rzadko tu bywali. Tym rzadziej cywile, jakimi Simon nazywał tych, którzy nie należeli do tajnej agendy rządowej zorganizowanej przez niego na rozkaz jednego z poprzednich prezydentów i przez cały czas przez niego, McKinziego, dowodzonej. - Według naszych danych Vicente Menendez chce zostać kolejnym, największym na świecie królem narkotyków. Postanowił kupić wpływy w Argentynie, żeby móc rozprowadzać narkotyki nową drogą. Wybrał Paula Reia, starszego człowieka i bogacza, sądząc, że osoba w jego wieku łatwo się podda. Nie wiedział jednak, na jak silny charakter trafił. Podobnie nie spodziewał się konfrontacji z tak piękną i inteligentną kobietą jak pani Rei. Wszyscy znaliście ją jako Menie Alexandre. Wszyscy, z wyjątkiem Jeffersona, dla którego była Marissa Claire, jak naprawdę się nazywała. I, oczywiście, Rick nie zna jej dotąd. Mam nadzieję, że wkrótce uda nam się to zmienić. Czy macie na razie jakieś pytania?... Menendez założył, że za odpowiednią cenę kupi nie tylko

posłuszeństwo Reia, ale i jego młodą żonę. Prawdopodobnie, nie doceniając ich, zdradził im na temat swoich zamiarów więcej, niż było z jego punktu widzenia roztropnie. W końcu zrozumiał, że ani Reia, ani jego żony nie da się kupić za żadną cenę. Podejrzewamy, iż bojąc się, że zostanie wydany policji, rozwścieczony odrzuceniem jego względów przez panią Rei, rozkazał zestrzelić samolot nad oceanem. Początkowo przypuszczaliśmy, że to była bomba.. Wszystko, co do tej pory powiedziałem, to tylko nasze spekulacje, wysnute na podstawie podejrzeń pewnego informatora. Do czasu telefonu Jeffersona do Jericho nie mieliśmy powodu sądzić, że Marissa Rei żyje. A nawet, gdybyśmy sądzili, że żyje, nie wiedzielibyśmy, gdzie jej szukać. A teraz już wiemy. Na szczęście, Jefferson zorientował się, że należy zachować sprawę w tajemnicy. Dzięki temu może nam się udać.

- Czyli lecimy ją ratować - skwitował Rick Cahill. - Dlaczego?

- Dlatego, że jest obywatelką amerykańską, urodzoną w Stanach Zjednoczonych, z amerykańskiej matki. Dlatego, że Menendez także jest Amerykaninem i dla pieniędzy niszczy życie innym ludziom. Dlatego, że chcę go aresztować i sprawić, żeby został skazany. Czy to wystarczy?

Jefferson jechał po ogromnym, pięknym, pofałdowanym pustkowiu. Wierzchołek był bardzo dobry. Z tyłu, poza zasięgiem wzroku, znajdowała się estancia zabitych państwa Alexandre'ów. Stała pośrodku równiny, niczym oaza. Przed oczami Cade'a wznosiły się Alpy Patagońskie, stanowiące część przechodzącego przez cały kontynent gigantycznego łańcucha Andów. Widać było, że jego

przewodniczka dobrze zna teren. Jefferson musiał tylko jechać za nią i mieścić się w czasie wyznaczonym przez Simona.

Obawiał się o Marisę i o to, co później stanie się z dobrymi ludźmi, którzy jej pomogli.

„Pojedź, zachowując ostrożność, do posiadłości Alexandre'ów, do Marty Elia - żony rządcy. Dostarczy ci konie i przewodnika. Resztę zostawiamy tobie.”

Cade martwił się o rodzinę Eliów. W tej chwili jechała przed nim sama Marta Elia; do jej pleców uczepiony był trzyletni Alejandro. Nie wiedział, że to ona ma być przewodnikiem i że zabierze ze sobą dziecko.

Trzeba było jechać szybko i cicho, ale Alejandro zachowywał się wspaniale. Mijały godziny, słońce paliło, a on ani razu nie zapłakał.

- Zajechaliśmy, señor - powiedziała nagle Marta. Równina była tu tak samo cicha, jak gdzie indziej, góry nie przybliżyły się, choć od pewnego czasu przejeżdżali przez skaliste pagórki. Tylko wiatr szumiał.

Może Marcie coś się pomyliło, a może... Menendez?

Nagle, zza nie odcinającego się od tła głazu, wychynął krepny mężczyzna. Miał kapelusz z szerokim rondem, indiańskie rysy, był przystojny. Gaucho. Tyle że założył zwykłe spodnie, a nie te sławne, szerokie niczym balony. Chwilę później pojawiła się Marissa.

- Tu jestem, Jeffersonie! - Jej głos zabrzmiał jak muzyka.

Cade przestał na chwilę oddychać; serce biło mu nierówno, usta wyschły. Marissa bardzo się zmieniła, a jednocześnie pozostała niezwykle piękna.

Jej długie, ciemne włosy były teraz przycięte krócej i lepiej wymodelowane. Sięgały jej do ramion; nie związywała ich już chustką. Wciąż piękne rysy były teraz wyostrzone; wychudła. Za bardzo. To, co przeszła, musiało być dla niej bardzo ciężkie. Była ubrana w ciemne, obcisłe, skórzane spodnie, wysokie buty, lekką skórzaną kamizelkę, cienką koszulę i paś.

Setki razy widywał ją właśnie tak ubraną. Wyglądała na osobę, która się nie poddaje, jak się zresztą spodziewał.

- Czy jesteś cała i zdrowa? - pytał z przejęciem. – Jak się czujesz? - Marta, Juan i malutki Alejandro przyglądali się im.

Marissa spuściła oczy. Widać było, jak się czuje. Po chwili podniosła wzrok, uśmiechnęła się słabo i odpowiedziała:

- Jestem cała i zdrowa. Będę się czuła lepiej. Teraz, kiedy do mnie przyjechałeś.

„Teraz, kiedy do mnie przyjechałeś”. Jefferson nie zdawał sobie sprawy, że tak długo czekał na te właśnie słowa. Rzucili się sobie w objęcia.

- Jesteś już bezpieczna, kochanie! - zapewnił Cade. Marissa wdychała zapach mężczyzny, którego nigdy nie zapomniała, rozkoszowała się jego delikatnym dotykiem, o którym marzyła.

- Bałem się, że już ci nie będzie na mnie zależało, i że nie przyjedziesz.

Uniósł lekko jej głowę, żeby popatrzyła mu w oczy.

- Przecież ci obiecałem, Marisso. Pamiętasz. „Gdybyś kiedykolwiek mnie potrzebowała...”

- „...przyjadę, żeby ci pomóc”. I przyjechałeś! Nie powinnam była w to wątpić. Wszyscy ryzykujecie dla mnie życie! Nie zasłużyłam na takich przyjaciół jak ty, Juan i Marta.

- Co ty mówisz?... - Jefferson przytulał Marissę, z której oczu płynęły łzy. Tymczasem z oddali dał się słyszeć odgłos helikoptera. Zbliżał się stopniowo. Jefferson nie chciał puścić ukochanej, ale musiał zająć się na chwilę czym innym.

Podeszli do sterty kamieni, gdzie stali Juan i Marta. Dopiero z bliska Jefferson zorientował się, że głazy są pozostałością jakiegoś budynku. Służyły Marissie za miejsce noclegu - za dom, na te kilka tygodni od czasu katastrofy samolotu Reia.

- Przylatują nasi ludzie - zakomunikował Jefferson. -W śmigłowcu jest dość miejsca dla was i dla dziecka. Jeśli ludzie Menendeza dowiedzą się, że Marissa nie leciała tym samolotem i że jej pomogliście, grozi wam śmierć. Simon zapewni wam dostanie się bez kłopotów na teren Stanów Zjednoczonych. Tam obiecuję Juanowi pracę na ranchu u moich braci, na południowym wschodzie kraju. Albo -u mnie, na zachodzie. Przede wszystkim, ja i nasi ludzie obiecujemy, że będziecie bezpieczni.

Juan podniósł wzrok.

- Od początku zdajemy sobie z Martą sprawę z niebezpieczeństwa - powiedział.

- Rozumiecie, że nie możecie tu zostać?

- A czy pan rozumie, co się może stać, jeśli polecimy z wami, señor Cade?

- Boisz, że będą was tu szukać i dojdą do tego, że może ja żyję?
- odezwała się z niepokojem Marissa.

- Jeśli rozpocznie się śledztwo, będą wszystkich wypytywać - zgodził się Juan. - Ktoś przypomni sobie, że pomagałaś przy chorym Alejandro w dniu, kiedy miałaś lecieć tym samolotem. Będą pytać dalej i... Ktoś puści parę z ust — za pieniądze albo torturowany. Menendez nie zawaha się. Ma swoich oprawców i kontakty. Znajdzie cię, gdziekolwiek będziecie. Jeśli me uda mu się ciebie porwać, zabije cię.

- Muszę zaryzykować - odpowiedziała Marissa. - Lepiej obawiać się Menendeza niż bać się, że dzieje się tutaj z wami coś strasznego. Kocham Alejandra jak własne dziecko, którego nie mogłam mieć. Nie zostawię go na pastwę Menendeza.

- Zawsze mieszkaliśmy w tej posiadłości. Jeżeli zostaniemy, nikt nie będzie niczego podejrzewał - kontrował Juan. - Nigdzie indziej nie będziemy bardziej bezpieczni niż tu. Nic się nie zmieni poza tym, że przybędą tu spadkobiercy twojego ojca.

- A nie boi się pan, że ktoś z miejscowych powie im wszystko, co wie? - spytał Jefferson.

- Nasz naród od wieków żyje na tym odludziu i nie troszczy się o to, co dzieje się gdzie indziej. Ja pierwszy dowiedziałem się o katastrofie i o podejrzeniu, że to była bomba. Najpierw ukryłem Marissę, a dopiero potem powiedziałem ludziom o śmierci państwa Rei. Mieszkańcy posiadłości myślą, że Marissa także zginęła w tym

samolocie. Kiedy przyjeżdżałem tutaj, Marta wymyślała dobre wytłumaczenia na to, że mnie nie ma. Co do pana, powiedziała ciekawskim, że jest pan amerykańskim dziennikarzem i szuka sensacyjnego tematu na artykuł.

- Obawiam się, że to zbyt naiwne, Juanie. Ktoś może powiązać kilka wydarzeń w jedno... - Jefferson widział, że nie zdoła przekonać upartego mężczyzny. Gaucho nie chciał porzucić swojego kraju i sposobu życia. Cade skłonił głowę i umilkł, mając nadzieję, że może Marissa wpłynie na swojego argentyńskiego przyjaciela.

- A zatem zdecydowałeś, że nie polecicie? Wiem, że nic cię nie przekona - odezwała się Marissa. - A co sądzi

- Marta?

- Nie polecimy. Marta zawsze chce tego, czego ja. - Juan stał z założonymi rękami.

Marissa skinęła głową. Juan i Marta kochali się tak mocno, jak nikt, kogo znała. Zdawało się, że czują i myślą niemal to samo.

Marissa podeszła do Juana i spojrzała mu odważnie w oczy.

- W takim razie ja też zostaję!

- Nie! - przeraził się Jefferson. - Nie wiesz, co mówisz. - Chciał ją odciągnąć, ale powstrzymała go ruchem ręki.

- Dobrze wiem, co mówię. Zostaję, żeby chronić moich przyjaciół, tak jak oni chronili mnie. I patrzeć, jak dorasta Alejandro. Jeśli w tym celu będę musiała żyć z Menendezem, to trudno. - Marissa uśmiechnęła się smutno do Cade'a. - Przykro mi, Jeffersonie. Nie wiesz nawet, jak ogromnie!... - Trudno jej było mówić. - Najchętniej odwróciłabym to, co zrobił Menendez. Ale nie mogę. Nie mogę też

zostawić na pastwę losu ludzi, którzy tyle dla mnie zrobili i na których tak mi zależy.

- Chcesz zawrzeć umowę z Menendezem? - Juan rozumiał, o czym myśli Marissa.

- Jeśli się uda.

- Znowu sprzedasz swoje ciało i duszę komuś innemu!... - mruknął Jefferson.

- Zastanów się, co sam byś zrobił. A ty, Juanie, nie zrobiłbyś wszystkiego, żeby ratować kogoś, kogo kochasz?

Jefferson wiedział tylko tyle, że zrobiłby wszystko dla Marissy. Tymczasem nadlatywał śmigłowiec.

- Zatem postanowione. Wszyscy zostajemy - oznajmił.

- Nie macie racji - odezwała się milcząca dotąd Marta. - Mój mąż myśli sercem zamiast głową, Wszyscy lecimy. Juanie, nie mamy tu nikogo. Żadnej rodziny. Nie wiemy, czy będziemy szczęśliwi u nowego właściciela majątku. Jeśli ktoś zechce zdradzić, że Marissa nie leciała tym samolotem, zrobi to niezależnie od tego, czy tu zostaniemy, czy nie. Alejandro ma niepowtarzalną szansę. Musimy ją wykorzystać.

Juan popatrzył na dziecko- Malec był bardzo zmęczony.

- Jesteś pewna, kochanie? - spytał.

- Tak.

Śmigłowiec zbliżył się z łoskotem i zaczął podchodzić do lądowania. Był znacznie większy od tych, którymi przed dwoma dniami podróżował Jefferson.

- Chodźcie! - zawołał Juan. - Musimy zdjąć siodła z koni i puścić je wolno!

Zajęli się końmi.

- Nie powinniśmy nic pozostawiać! - odezwał się Jefferson. - Nie wiadomo, jakie podejrzenia wzbudziłyby siodła i uprzęż leżące na ziemi. Może żadne. Ale najlepiej zabierzmy je stąd; tak samo koce i wszystko, co ma związek z posiadłością Alexandre'ów.

Ładujący helikopter uniemożliwił dalszą rozmowę. Pozbierano rzeczy. Konie mogą żyć, gdzie zechcą. Wody i trawy było w tych okolicach w bród.

Śmigłowiec zawisł nisko nad ziemią i czekał. Za sterami siedział Rick Cahill, w otwartych drzwiach stali uzbrojeni Yancey Hamilton i Ethan Garrett. Maszyna dotknęła ziemi tylko na chwilę. Wciągnięto do środka ludzi i rzeczy.

- Gotowi?! - zawołał Rick.

- Lećmy! - odparł Jefferson, dając sygnał uniesionymi kciukami.

Pilot uśmiechnął się i wzniósł śmigłowiec w powietrze.

Jefferson popatrzył po kolei na siedzących. Sami dzielni ludzie. Włączając w to trzyletniego Alejandro.

Marissa! Cade westchnął i uśmiechnął się czule do Marissy.

„Gdybyś kiedykolwiek mnie potrzebowała...” Dotrzymał obietnicy.

ROZDZIAŁ TRZECI

Raport z misji.

To sformułowanie nie pasowało do spokojnej, górskiej doliny. Ale niejedno zdarzenie w życiu Jeffersona Cade'a wydawało się ostatnio niespodziewane.

Lot z Argentyny był długi, z przesiadkami. Noc spędzona w wakacyjnym domu Simona McKinziego nie upłynęła na spaniu.

Jefferson stał na skraju przepaści i podziwiał piękną okolicę. Obejrzał ją już dokładnie pod kątem bezpieczeństwa. Nie było się czym martwić. Marissa poszła przejść się brzegiem jeziora. Alejandro bawił się z najmłodszym synkiem Canfieldów, pod bacznym okiem Raven Canfield - jego matki, ukochanej chrześniaczki Simona. W zabawie uczestniczyły młode doberman-y Canfieldów, jeszcze szczeniaki.

Jefferson zdawał sobie sprawę, że nad Marissą, nad nim i nad Eliami wciąż wisi niebezpieczeństwo. Nie zmieni się to, póki Menendez i jego opryszkowie będą pozostawać na wolności.

Cade myślał o tragedii, jaką przeżyła Marissa, o samej Marissie. Nagle zdał sobie sprawę, że coraz bardziej jej pragnie. Przypominały mu się jej spojrzenia, uśmiech, ciepło jej dłoni. Tak bardzo chciał wziąć ją w objęcia i całować. Miał ochotę położyć cały świat u jej stóp i zapewnić jej bezpieczeństwo.

Jeśli trzeba będzie cały czas uważać, czy ktoś nam nie zagraża, ja też będę uważał. Tak długo, jak to będzie konieczne! obiecał w myśli.

Wiedział, że ludzie, którzy dopiero co ryzykowali życie, żeby wydostać Marissę i jej przyjaciół, zrobiliby to ponownie, gdyby zaszła taka potrzeba. To była szczególna cecha wszystkich wybranych przez McKenziego mężczyzn. Simon zorganizował grupę i urządził dla niej bazę w bezpiecznej i pięknej dolinie. Trudno było się tu wdrzeć. Jako pierwszego McKenzie zwerbował Davida Canfielda, który pilnował domu w dolinie pod nieobecność gospodarza.

Wkrótce miał przylecieć śmigłowiec, przywożąc ostatniego członka Czarnej Warty, którego wezwał Simon. Potem każdy zajmie się swoimi zadaniami, swoim życiem. Na razie można było odpocząć. I - pilnować Marissy.

O czym myślisz, Marisso? zastanawiał się Jefferson.

Dawniej Marissa upajała się zapachem ogrodu Raven Canfield, w którym rosły dzikie, górskie rośliny. Teraz minęła go, nawet nań nie spojrzawszy. W dolinie odbił się echem krzyk orła. Niegdyś Marissa poszukałaby wzrokiem na niebie majestatycznego ptaka. Dziś jakby go nie słyszała.

Jefferson wiedział, że burzą się w niej uczucia, że przeżywa śmierć najbliższych - żalobę i niezasłużone poczucie winy. W jej życiu nastąpił radykalny zwrot. Jednak, poza wszystkim, przeżywała jeszcze coś, co najwyraźniej chciała przemyśleć. Nie dawało jej to spokoju.

- Co cię trapi, malutka? Czy mogę ci jakoś pomóc? - Jefferson wiedział, że wiele w takiej sprawie nie pomoże. Mógł najwyżej powstrzymać pragnienie bliskości z Marissa, odsuwać pożądanie. Czekać, co będzie dalej. Czuwać nad jej bezpieczeństwem. Pewnego dnia, jeśli taki dzień nastąpi, Marissa otworzy dla niego serce.

Przybył Yancey Hamilton, który wyleciał śmigłowcem przed świtem. Był równie znakomitym pilotem jak Rick Cahill.

Jefferson nie zdziwił się, odkrywając tak niezwykłą umiejętność starego przyjaciela z Belle Terre. Teraz już Cade'a nie zaskoczy nic, co będzie dotyczyło Czarnej Warty. Poza zdradą albo niedzientelmeńskim zachowaniem któregoś z jej członków. Tego by się po nich nigdy nie spodziewał.

Zastanawiał się, co dalej zaplanował Simon. Jericho Rivers, skontaktowawszy ze sobą odpowiednie osoby, wrócił już dawno do Belle Terre i zajął się obowiązkami szeryfa. Nowy przybysz - a może będzie to kobieta - musiał mieć do wykonania kolejne obmyślane przez McKenziego zadanie.

Jefferson zszedł na dno doliny. Yancey zdążył już posadzić śmigłowiec na ziemi i wyłączyć silnik. Z maszyny wyłonił się zwalista Billy Blackhawk - szeryf Silverton.

Blackhawk, czyli „Czarny Jastrząb”, był w połowie Apaczem i równie potężnym mężczyzną jak Jericho Rivers. Wyciągnął rękę do Cade'a. Jego dłoń schowała się w ogromnej dłoni Billy'ego.

- Witaj, Jeff - powiedział szeryf. - Cieszę się, że wam się udało.

- Ty też!... - odezwał się Jefferson. - A myślałem, że już nic mnie nie zdziwi.

Billy uśmiechnął się.

- Zdziwi cię jeszcze niejedno.

- Na pewno - zgodził się Yancey, obejmując Cade'a ramieniem na powitanie. - Simon ma mnóstwo pomysłów.

- Nie on jeden... - odparł Jefferson.

Wszyscy zebrali się w gabinecie McKenziego. Marissa i Jefferson usiedli najbliżej niego. Kiedy Jefferson odsuwał krzesło dla Marissy, patrzyła tylko na jego dłonie, nie na twarz. Unikała jego oczu. Jefferson wystraszył się, że nie będzie chciała z nim być. Po chwili podziękowała mu jednak głosem, w którym zabrzmiała namiętność, i usiadła.

- Panie i panowie - odezwał się Simon, wstawszy. - Muszę was pochwalić. Podejmowaliście mądre decyzje. Począwszy od decyzji pana Elii, że trzeba ukryć panią Rei. Pani Rei, czy mogę mówić pani po imieniu? - Oczy wszystkich zwróciły się na Marissę. Była wyprostowana i patrzyła spokojnie na McKenziego. Skinęła głową z nieznacznym uśmiechem. Potrafiła kontrolować dręczące ją emocje, kiedy zachodziła taka potrzeba. - Marisso - ciągnął dowódca Czarnej Warty - drugą mądrą decyzją było wysłanie wiadomości Jeffersonowi, za pośrednictwem kilkorga zaufanych przyjaciół ze studiów.

Taką Marissę Jefferson widział po raz pierwszy. Zawsze była taka, chociaż nie zwrócił dotąd uwagi na ten aspekt jej osobowości. Była bardzo silnym człowiekiem. Odważnym, wrażliwym na cierpienie innych, gotowym do poświęceń.

Ta wspaniała kobieta była niegdyś najlepszą przyjaciółką Jeffersona i jeden raz - kochanką. Zamierzał zrobić wszystko, żeby

znowu została jedną i drugą. Nie martwił się, czy obecni wyczytają z jego twarzy, co czuje.

McKenzie chwalił kolejne osoby, podsumowując przebieg dotychczasowych wydarzeń. W końcu, przeszedł do tego, co miało dziać się dalej:

- Marisso, Juanie i Marto, musicie przez pewien czas pozostać w ukryciu. Nie potrafię powiedzieć, jak długo. Ale potrzebny nam czas, żeby udowodnić to, co podejrzewamy, i dopaść Menendeza.

- Rozumiem. Wszyscy rozumiemy - odpowiedziała Marissa.

- Nie możecie mieszkać w Belle Terre czy okolicy tego miasta - ciągnął Simon. - Ktoś mógłby was rozpoznać. Do czasu, aż zostanie znalezione inne rozwiązanie, ofiarowuję wam gościnę w tym domu. David będzie służył wam za ochroniarza, jak z pewnością i Juan. Wzdłuż drogi do doliny będą stacjonować wartownicy... Jeffersonie? - przerwał McKenzie. - Nachmurzyłeś się. Czy nie podoba ci się taki plan?

- Nie, plan jest dobry. Tylko, że myślałem, że... Marissa pojedzie ze mną do Broken Spur. Mieszkam w kanionie, teren wokół jest patrolowany. Nikt w okolicy nie zna Marissy.

- Świetnie! - ucieszył się Simon. - Miałem nadzieję, że zgłosisz tę ofertę. Właśnie dlatego wezwałem tu dzisiaj Billy'ego. Marissa, Juan i Marta muszą teraz podjąć decyzję, co zrobią. Jednak niech Billy najpierw opisz zabezpieczenia, jakie może wam zapewnić.

Blaekhawk podszedł do ściany i rozwinął mapę.

- Zarówno ta dolina, jak i kanion Sunrise są oddzielone od reszty świata i zapewnią wam anonimowość. Różnią się za to obszarem i

liczebnością ochrony. Sandy Gannon dba o posiadłość Jake'a Benedicta. Jeźdźcy bez przerwy patrolują ten obszar - dodał i wskazał fragment mapy.

- Jeśli dodamy po człowieku tu, tu i tu, nie powinni wzbudzić podejrzeń. Poza tym Benedict kupił właśnie kawałek terenu tutaj, wraz z małym ranczo. - Posiadłość Benedicta powiększyła się o wąski, przypominający klin fragment terenu. - Sandy potrzebuje pracownika, który zna się na bydle i koniach i mieszkałby na tym ranczu. Rozmawiałem już z Sandym. Masz tę pracę,; jeśli chcesz, Juan. Dom jest odległy od domu, gdzie mieszka Jefferson, o godzinę niespiesznej jazdy konnej. Podejmijcie decyzję.

- Byłam ostatnio tak pogrążona w myślach, że nie zastanawiałam się... - Marissa urwała i oprzytomniała. -

W innych okolicznościach wolałabym tę dolinę. Ale mogłoby to stworzyć niebezpieczeństwo dla dzieci Davida i Raven. Szczerze mówiąc, uważam, że Bröken Spür też nie jest odpowiednim miejscem... Ale skoro nie ma innych możliwości... Przepraszam, mówię bez sensu. Chyba muszę poczekać, aż wypowiedzą się ci, którzy lepiej orientują się w sytuacji.

- Jefferson? - odezwał się Simon.

Marissa dała jasno do zrozumienia, że nie chce zamieszkać w kanionie Sunrise. Ale nie chciał, żeby wybrano dla niej jakieś trzecie miejsce.

- Mam pracować w Bröken Spür jeszcze co najmniej przez rok - powiedział. Przydałby mi się ekspert od szkolenia koni. Taki jak Marissa.

- Proponujesz Marissie pracę? - upewnił się Yancey.

- Dlaczego nie? Świetnie zna się na koniach.

- Co ty myślisz, Juanie? - spytała Marissa. Juan spojrzał na żonę, a ta pokiwała głową.

- Wolelibyśmy oboje pracować na ranchu pana Gan-nona.

Alejandro cieszyłby się, gdybyś mieszkała w pobliżu i mogła nas odwiedzać.

Marissa wzięła głęboki oddech. Rodzinie Eliów trafiała się okazja, jaka nigdy nie spotkałaby ich w Argentynie. Ale nie wykorzystają jej, jeśli ona nie zamieszka w Bröken Spur.

- Kwestia została rozwiązana - powiedziała. - Jedziemy do Bröken Spur i na nowe rancho pana Benedicta. - Nie dodała, że boi się o siebie i Jeffersona.

Simon ucieszył się z decyzji, jaką podjęła Marissa. Pozostali także uważali ją za najlepszą. Spotkanie miało się ku końcowi. Marissa z całej duszy podziękowała mężczyznom z Czarnej Warty, którzy polecili do Argentyny, żeby ją ratować.

- Jeffersonie - powiedziała. - Tobie powinnam podziękować tak samo jak panom. A może jeszcze więcej, bo to dzięki tobie Juan, Marta, Alejandro i ja zostaliśmy tu przewiezieni.

- Czy, wysyłając swój list, choć przez chwilę wątpiłaś, że zrobię to, co zrobiłem? - W głosie Cade'a słychać było ironię. Jego uczucia względem Marissy nie zmieniły się przez lata. Cztery lata, które ciągnęły się jak wieczność. Dziwne zachowanie Marissy bolało go, ale nie zmieniało jego uczuć. - Nie chcę twojej wdzięczności, Marisso - powiedział. - Nie chodzi mi o wdzięczność... - Odwrócił się z ponurą

miną. Czuł, że teraz on musi znaleźć się na dłuższą chwilę w samotności i przemyśleć wszystko. Zebrać siłę woli, aby powstrzymać swoją tęsknotę za Marissą. I pożądanie. Nie zastanawiał się dotąd nad przyszłością. Myślał tylko o tym, że Marissa potrzebuje jego pomocy. Nie przyszło mu do głowy pytanie, czy będą mogli zostać ze sobą razem.

I na pewno nie miał zamiaru jej dokuczać, a jednak zrobił to, mówiąc, że nie chce jej wdzięczności. Stali wszyscy na werandzie, omywani świeżym, stygnącym powietrzem. Zapadał zmrok i świecił już księżyc. Wokół pachniało, a Jefferson najbardziej ze wszystkich mieszających się woni czuł zapach Marissy. To nim oddychał. Zebrani zerkali na niego, a on widział tylko pytające spojrzenia Marissy.

Nie był w stanie wytrzymać już ani minuty dłużej. Odezwał się do Simona:

- Czy skończyliśmy już omawiać plany? Chciałbym przejść się brzegiem, jeziora.

Po chwili znalazł się nad spokojną wodą. Niosła śmiechy zebranych na werandzie, którzy rozluźnili się po niebezpiecznej akcji. Wkrótce otoczyły go zwisające gałęzie świerków i sosen.

Usłyszał za sobą psa. Zobaczył sukę dobermana; rozpoznał ją, bo była mniejsza od samców. Położył dłoń na głowie przyjaznego zwierzęcia.

- Jazz, co tu robisz sama? - spytał.

- Jazz nie jest sama - odezwał się głos Marissy. - Czy mogłybyśmy przejść się z tobą?

Jefferson wahał się tylko przez pół sekundy.

- Oczywiście.

Nie śmiał w zaistniałej sytuacji wziąć Marissy pod rękę, czy, tym bardziej, za rękę. Szedł w milczeniu koło niej. Kiedy przeszli mniej więcej jedną czwartą obwodu jeziora, Marissa zatrzymała Cade'a ruchem ręki.

- Przepraszam cię, Jeffersonie. Nie powinnam była cię wzywać. Ale pomyślałam, że po latach... że ja, my... - Urwała. - Nie powinnam była cię w to wciągać.

- A kogo innego miałaś prosić o pomoc, Marisso? - Cade wyciągnął rękę i dotknął jej twarzy, odgarnął za jej ucho kosmyk włosów. - Miałaś rację, że zwróciłaś się do mnie. Dopiero kiedy poznałem Simona i jego ludzi, zorientowałem się, jak słusznie zrobiłaś. Na pewno inni także by próbowali - twoi przyjaciele ze studiów albo z Argentyny. Ale to Simon dysponuje odpowiednimi środkami i ludźmi. Ma ten dom w dolinie i kogoś tak wspaniałego jak Raven.

- I jak ty.

- Ja? Miałem tylko szczęście, że zadzwoniłem do odpowiednich ludzi. Nie wiedziałem, od czego zacząć, z kim się skontaktować. Zadzwoniłem więc do Jericho i poprosiłem o spotkanie z Yanceyem. Wiedziałem, że Yancey ma jakieś dziwne kontakty, dzięki którym dużo może. Że jest w stanie znaleźć się w dowolnym miejscu na świecie w każdym czasie. I że, jeśli ktokolwiek jest w stanie go odnaleźć, to zrobi to Jericho. No i trafiłem w dziesiątkę. Zresztą... -

Jefferson wzruszył ramionami - „to już przeszłość. Jutro zaczyna się przyszłość.

Marissa patrzyła na niego. Była wysoka, ale on przewyższał ją wzrostem. W świetle księżyca jawił się jej jako rycerz w połyskującej zbroi. Nosił teraz krótkie włosy, nie długie, jak dawniej i posiwiał mu trochę. Ale i tak wciąż był jej księciem z bajki, którego znalazła na dzikich bagnach. Nowoczesnym księciem. Pozostanie nim wszędzie, a co najważniejsze, w jej sercu. Zawsze był i będzie rycerski.

- Jutro... - powtórzyła, zaciskając pięści, żeby go nie dotknąć.

Jefferson usłyszał udrekę w jej głosie; zwrócił delikatnie jej twarz ku sobie i powiedział:

- Nie bój się. Tam, na ranczu, wszystko będzie dobrze. Nic ci się tam nie stanie. Ja także nie zrobię ci krzywdy.

- Nie boję się Jeffersonie. Już nie. A już na pewno nigdy nie bałam się ciebie. - Miała ochotę całować jego delikatną dłoń. I to pragnienie zmieniało się w ból i poczucie winy, kiedy przypominała sobie innego miłego i delikatnego mężczyznę. Paulo!...

- Powinnam już wracać. - Marissa popatrzyła na rysujące się na tle zapadającego zmierzchu mroczne kształty gór. Na migoczącą w świetle księżyca tafłę jeziora. Wciągnęła w nozdrza zapach dzikich roślin, górskiego powietrza i Jeffersona. Przez chwilę niemal była w stanie wyobrazić sobie inny świat, w którym nie byłoby żałoby ani poczucia winy, tylko miłość.

- Marisso?...

- Nic, nic... Jutro będzie długi i pełen wysiłku dzień. Pójdę i pozwolę ci spacerować i myśleć w spokoju. -Czuła, że kłamie, nie mówiąc Jeffersonowi, o co jej chodzi. - Przepraszam cię za to, co zrobiłam z twoim życiem. Za to, że naraziłam cię na takie niebezpieczeństwo... Być może mogłam zwrócić się o pomoc do innych ludzi. Ale nawet nie przyszło mi to do głowy. Pomyślałam od razu o tobie, nie zastanawiając się, co twoja próba pomocy może oznaczać dla ciebie. - Spuściła głowę i patrzyła w ziemię, ale widziała Jeffersona nagiego, pieszczącego ją tamtego dnia w domku na drzewie. Przystojnego, wysokiego, delikatnego mężczyznę o szafirowych oczach. Jej najlepszego przyjaciela, czułego kochanka. Mężczyznę, którego nie była w stanie zapomnieć. Podniosła wzrok. - Chciałam zobaczyć cię, Jeffersonie.

Cade nie był pewien, jak ma rozumieć jej słowa. Odeszła. Patrzył za nią i myślał, że nie powinien interpretować tego, co powiedziała, według własnych marzeń. Mógłby się pomylić. Był jej prawdziwym przyjacielem. Nic więc dziwnego, że chciała go zobaczyć. Zobaczyć, że dotrzymał złożonej obietnicy.

Po pewnym czasie Jefferson także wrócił do domu McKenziego. Świeciło się u niego; u Canfieldów już nie. Miał nadzieję, że Marissa zasnęła. Musiała wypocząć przed nową podróżą.

- Jeffersonie - odezwał się głos Raven. Chrześcianka Simona wyszła spomiędzy sosen i oparła dłoń na łokciu Cade'a. - Czy zechcesz mnie wysłuchać? Rozumiem, co teraz czuje Marissa, bo kiedyś przeszłam to samo. I tak samo się czułam.

Yancey mówił Jeffersonowi, że Raven także straciła kiedyś najbliższych; była wówczas znacznie młodsza niż Marissa teraz.

- Oczywiście, że cię wysłucham, Raven.

Skinęła głową i uśmiechnęła się gorzko.

- Zachowuj się ostrożnie, uważnie. Bądź tak cierpliwy, jak tylko możesz. Spróbuj traktować każdy dzień jak kolejne osiągnięcie. Nie poganiaj Marissy - a, z drugiej strony, nie pozwalaj jej się zadreć. A przede wszystkim, pamiętaj, że, mimo twojej dobrej woli, ty również wywołujesz w niej poczucie winy. Jeśli nagle się wyprowadzi albo odwróci od ciebie, wiedz, że nie będzie chciała uciec od ciebie, tylko od dręczących uczuć, które będzie wywoływała w niej twoja obecność. W takim wypadku po prostu poczekaj na nią, aż wróci.

- Nie rozumiem. Dlaczego wywołuję w Marissie poczucie winy?

- Nie rozmawiała ze mną na ten temat. Mogę więc powiedzieć ci tylko, co sądę. Ale widzę, że Marissa cierpi nie tylko z powodu żałoby, ale i poczucia winy. Poczucia, że w jakiś sposób jest odpowiedzialna za śmierć męża i rodziców. Że mogła jej zapobiec. A przede wszystkim Marissa myśli teraz, że byłoby niemoralne znowu czuć, troszczyć się o kogoś, a zwłaszcza znowu kochać.

- Czy kiedy ty straciłaś rodziców i brata, uważałaś, że wolno ci odczuwać tylko winę?...

Raven przez chwilę nie odpowiadała.

- Tak, z początku tak czułam. Nienawidziłam świata, ale jeszcze bardziej siebie... za to, że żyję, że czuję różne miłe rzeczy, podczas gdy moi najbliżsi już nie mogą ich odczuwać. Na szczęście, przyjechał do mnie Simon i sprowadził mnie tutaj, do swojej matki,

Rhei. Razem sprawili, że jakoś przeżyłam tę tragedię. Ze znowu stałam się normalnym człowiekiem.

- Czy myślisz, że będę w stanie zrobić to samo dla Marissy?

- Tak. Bardziej niż ktokolwiek inny, bo myślę, że ty przez lata czułeś coś podobnego jak ona teraz. Pewnie do tej pory w jakimś stopniu czujesz. Tylko postępuj ostrożnie. Dla dobra własnego i Marissy. A w końcu będziesz zaskoczony tym, jak wspaniałe owoce da pomoc, jakiej od ciebie doznała.

- Widać, że sama przeszłaś przez coś takiego... i otrzymałaś nagrodę.

- Tak. Kiedy Simon przysłał tu Davida, był on w fatalnym stanie psychicznym. Ja doszłam już do siebie na tyle, na ile mogłam to zrobić jako osoba samotna. Później, razem z Davidem, odnaleźliśmy drogę, która zaprowadziła nas do miłości. Teraz dzielimy się nią i żyjemy razem, szczęśliwi. Tak samo może być z wami, Jeffersonie.

- Jeśli tylko będę uważał...

- Tak. - Raven uśmiechnęła się zachęcająco. - Pójdę już, żebyś mógł wszystko spokojnie przemyśleć i odpocząć. Jutro czeka was długa droga. - Ruszyła w stronę swojego domu, stojącego w pobliżu domu McKenziego.

- Słuchaj! - zawołał cicho Cade. - Skąd będę wiedział, co mam robić?

- To bardzo proste. Rób to, co uznasz za najlepsze. Zawsze idź za głosem serca.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Jefferson zatrzymał półciężarówkę przed hangarem, podobnym do tego, w którym stał mały odrzutowiec, jakim przed tygodniem lecieli z Rickiem Cahillem. Tyle się wydarzyło i zmieniło, że Cade'owi trudno było uwierzyć, iż minął zaledwie tydzień.

Był trochę zmęczony. Popatrzył na zegarek i zastanowił się chwilę. Wszystko udało się znakomicie, pomyślał. W końcu tak zaplanował Simon.

Jefferson wysiadł z samochodu, popatrzył w niebo, i od razu usłyszał i zobaczył samolot.

Wszystko przebiega zgodnie z planem Simona, pomyślał znowu. Tak samo myśleli wszyscy ludzie z Czarnej Warty. Działali tak, żeby wykonać na czas zadania przydzielone im przez McKenziego. Chcieli wykonać je szybko, dla dobra Simona, dla własnego dobra, a przede wszystkim dla dobra swojej ojczyzny i jej obywateli.

Takich, jak na przykład Marissa.

Kilka minut później na lotnisku wylądował mały odrzutowiec. Kołował, zatrzymując się naprzeciw hangaru. Cade wbiegł na paś i zamachał do Yanceya. Drzwi samolotu otworzyły się i po chwili Jefferson pomagał wsiąść Marissie.

- Witaj w Arizonie! - powiedział do niej.

- Dziękuję ci.

Nie wiedział, za co dokładnie Marissa mu dziękuje.

- Jak przebiegł lot? - spytał Yanceya.

- Taką piękną maszyną zawsze świetnie się leci. - Hamilton pokazał szerokim gestem samolot.

- Czy to także odrzutowiec na sprzedaż? - zainteresował się Jefferson.

- Owszem. Naprawdę został sprzedany - odpowiedział z uśmiechem Yancey. - Dostarczam go, z uprzejmości, Patrickowi McCallumowi, przyjacielowi Simona.

- Temu szkockiemu finansiście... I robisz to tylko z uprzejmości?

- Owszem. Ale to dłuższa historia. Pewna kobieta z Czarnej Warty, strzelec wyborowy, uratowała córeczkę Patricka przed religijnym szaleńcem. Patrick i Simon brali razem udział w niejednym zgromadzeniu szkockich klanów, ubrani w tradycyjne spódniczki. Patrick ucieszyłby się tylko, że wiozłem kogoś tak wspaniałego jak Marissa.

- Ty też, jak mi się zdaje, znasz osobiście McCalluma - zauważył Cade.

- Od czasu do czasu nasze drogi się przecinają - przyznał Yancey. Wyciągnął rękę. - Uważaj na siebie, Jeffie.

- Możesz być o to spokojny, Yance. - Uścisnęli sobie dłonie. Byli starymi przyjaciółmi i łączyło ich niejedno wspomnienie.

Po chwili smukły odrzutowiec wystartował z powrotem. Jefferson odwrócił się do Marissy i powiedział:

- Jazda do kanionu zajmie nam parę godzin. Czas jechać.

- Jasne.

Ruszyła po bagaż, ale Cade wyprzedził ją, złapał torby i rzucił:

- Pani przodem!

Poszli do samochodu. Jefferson załadował torby na tył półciężarówki i pomógł Marissie wsiąść.

Była spięta, ale podziękowała mu znowu grzecznie. Kiedy drzwi samochodu się zamknęły, poczuła się nieswojo, zamknięta w małej przestrzeni tylko z Jeffersonem. Znowu naszły ją wspomnienia pamiętnego dnia w domku na drzewie.

Sama nie wiedziała już, co czuje, a może - co powinna czuć. Napięcie rosło. Nie знаła odpowiedniego rozwiązania tej sytuacji.

Przycisnęła się więc do drzwi i zmuszała się do wyglądania przez okno. Przez całe godziny obserwowała surową, piękną okolicę. Próbowwała nie myśleć o niczym, tylko podziwiać naturę.

Jefferson dwukrotnie skręcał i omijał kaniony. Jechali na zachód. Część dróg była pokryta asfaltem, część wyżwirowana, resztę stanowiły drogi polne. Pierwszymi prawie nic nie jeździło, ostatnimi - zupełnie nic. Jedynymi żywymi istotami, które napotkali, były dwie krowy, które minęli, oraz stadko koni. Dwa razy Marissa dostrzegła dachy domów, raz - wiatrak. Po pewnym czasie minęli małą wieżę wiertniczą. Musieli tu więc gdzieś mieszkać ludzie, ale nie było ich widać.

- Powinienem był wiedzieć... - odezwał się nagle Jefferson, po całych godzinach milczenia. Marissa obróciła się w fotelu. Patrzył usilnie na drogę, ale czuł na sobie jej wzrok.

- Co powinieneś był wiedzieć?

- Powinienem był wiedzieć, że Simon nie pozwoli, żebyś przybyła do Broken Spur normalną, najkrótszą drogą. Jest na to zbyt ostrożny. I... dzięki Bogu.

- Tak. - Marissa powróciła do oglądania widoków za oknem.

- Tak? - Jefferson chciał słyszeć jej głos.

- Słucham?

- Tak, jest ostrożny? Dzięki Bogu, że jest ostrożny? Co: tak?

Roześmiała się. Napięcie zelżało na moment.

- Jedno i drugie.

- Taak. - Teraz Cade się uśmiechnął. Nie zdawał sobie sprawy, że to jego pierwszy prawdziwy uśmiech od wielu dni. - Słusznie, malutka.

Odwróciła się, odgarniając włosy. Jefferson podziwiał ich piękno, to, jak wspaniale układały się na ramionach Marissy. Gdy unosiła rękę, jej piersi odznaczyły się na chwilę mocniej na skórzanej kamizelce. Trzeba było patrzeć na pełną dziur drogę, ale Cade zdążył zerknąć raz i drugi na smukłą talię Marissy, na jej szczupłe biodra i nogi.

Na wszelki wypadek, obserwował uważnie drogę. Ale i tak bardzo mocno czuł obecność Marissy od chwili, kiedy tylko pojawiła się w drzwiach samolotu. Nawet nie patrząc na nią, wyczuwał w ciasnej kabinie każde poruszenie ukochanej, każdy oddech, który, sprawiał, że jej piersi falowały łagodnie. Zdawał sobie sprawę z każdego ruchu jej długich nóg.

Wyglądała tak pięknie, wysoka, smukła, w wytartym dżinsowym komplecie, który dostała od Raven. Simon specjalnie zaplanował, żeby Marissa miała odpowiednie ubrania, charakterystyczne dla Zachodu Stanów Zjednoczonych i sprawiające wrażenie długo

używanych. Nie powinna wyglądać na pierwszy rzut oka na nowo przybyłą.

Nic z tego. I tak zwracała na siebie uwagę. Każdy mężczyzna będzie podziwiał jej widok, jej ruchy, jej ciało, poruszające się z prawdziwą gracją. Wyglądała na dziewczynę z rancza. Ale była zbyt piękna, żeby się za nią nie oglądać.

Jefferson ścisnął kierownicę, tłumiąc w sobie pożądanie. Zmuszał się do myślenia o drodze. Jechał do domu.

Dom. Po czterech latach przeżytych w Arizonie czuł się w Broken Spur u siebie w domu. Cieszył się, że wraca do kanionu i że znowu zobaczy Szatana.

Jego podróż trwała długo. Najpierw, z przesiadkami w dziwnych miejscach, przedostał się z górskiej doliny, gdzie stał dom McKenziego, do Belle Terre. Później odbył lot zwykłym, pasażerskim samolotem. Simon postanowił wykorzystać bilet, który kupił Cade. Gdyby ktoś zwrócił uwagę na jego nieobecność i powrót, i chciałby sprawdzić, gdzie Jefferson był, stwierdzi, że odwiedzał on swoich najbliższych w Południowej Karolinie.

Po odlocie Cade'a z kanionu, Billy Blaekhawk pojechał jego samochodem do Phoenix i zostawił go na lotniskowym parkingu. Półciężarówka stałaby tam, gdyby Jefferson normalnie poleciał do Belle Terre. Kiedy wylądował w Phoenix, wziął samochód i, zgodnie z instrukcjami Simona, okreśną drogą pojechał na małe, prywatne lotnisko, gdzie spotkali się z Marissa. Dopiero teraz jechali razem. Do domu.

- Jesteś zmęczona? - spytał, kiedy Marissa westchnęła.

- Może trochę. - Uśmiechnęła się nieznacznie.

- Trudno, żebyś nie była. I chyba więcej niż trochę. Ale niebawem dojedziemy. - Jefferson wyciągnął rękę i musnął jej nadgarstek.

Znow poczuła silnie, że pragnie poddać się dotykowi jego delikatnych, a jednocześnie męskich i silnych dłoni. Dłoni, które wiedziały, jak pieścić, żeby wzmacniać pożądanie i rozkosz.

Nikt nigdy nie dotykał jej tak jak Jefferson. Kiedyś uważała, że to bez znaczenia. Życie, jakie zapewnił jej Paulo, było dobre. Nie ograniczał jej swobody, pozwalał jej rozwijać zainteresowania, był dla niej dobry. Jednak nie pociągał jej; ich życie seksualne po prostu nie istniało. Dopiero teraz, kiedy po latach znowu spotkała Jeffersona, widziała jasno, czego jej brakowało.

Patrzyła na jego piękne, silne, męskie ręce, zręcznie prowadzące półciązarówkę. Ręce, które potrafiły okiełznać i głaskać najdziksze konie. I dotykać tak wspaniale jej, Marissy; uczyć ją, nie tkniętą przez nikogo, erotycznych pieszczot.

- Hej, ślicznotko! Powiedz, o czym myślisz - odezwał się Cade.

Przeraziła się, że odczytał jej myśli. Zaczerwieniła się. Spojrzała na niego i poczuła się winna, że śmie rozważać braki jej wspólnego życia z Paulem, który dopiero co zginął w katastrofie. Poczowała się samolubna, okrutna i niewierna. Pociągał ją siedzący koło niej mężczyzna, podczas gdy jej dobry mąż został zabity zaledwie przed sześcioma tygodniami!

Jefferson, pomimo wyboistej drogi, zaryzykował i wyciągnął na chwilę rękę, żeby pogłaskać Marissę wierzchem dłoni po policzku.

- Nie chciałem cię zasmucić, malutka. Nie wiem, czy zrobiłem albo powiedziałem coś nie tak, ale przepraszam.

- Nie rób tego! Przestań! Proszę cię. - Marissa cofnęła się w kąt, żeby Cade nie mógł jej dotknąć. Oddychała z wysiłkiem, przyciśnięta do drzwi. W końcu, po dłuższej chwili, uspokoiła się.

- Nie przepraszaj mnie, Jeffersonie - powiedziała ze smutkiem. - Nie masz za co. Ale, bardzo cię proszę, nie dotykaj mnie.

Słońce schowało się za góry. Teraz twarz Marissy kryła się w mroku, ale Cade wpatrywał się w nią. Nawet w ciemności widział jej sztywną postać i bezbarwne spojrzenie.

- Marisso, kochanie...

Skrzywiła się. Zacisnął zęby, żeby powstrzymać cisnące mu się na usta pytania, ścisnął kierownicę jeszcze mocniej i wyjrzał przez zakurzoną szybę. Zastanawiał się, jak potoczy się dalej jej i jego życie.

Chciał przeprosić ją za wszystko, co zrobił złego, ale wiedział, że nie będzie chciała tego słuchać. Miał ochotę zatrzymać samochód, wziąć Marissę w objęcia i zacząć ją całować, żeby zapomniała o bólu, żałobie i strachu.

Ale ona tego nie chciała. Powiedziała, żeby jej nie dotykał i sprawiło jej ból, kiedy użył słowa „kochanie”.

Choć przecież tam, w Argentynie, pozwoliła mu się dotknąć. Co się zmieniło?

Milczeli, każde pogrążone w swoich myślach. Cade prowadził, Marissa wyglądała przez okno. Sądziła, że Jefferson musi uważać ją za idiotkę.

Zerknął na nią raz, ale patrzyła w dal.

„Bardzo cię proszę, nie dotykaj mnie”.

Te okropne słowa odbijały się echem w głowie Jeffersona. Nie mogła znieść jego dotyku. Siedziała cicha, zamknięta w sobie. Była zupełnie inna niż zwykle. Nie chciała, żeby jej dotykał!

Nie chciała jego? A może tego, czego on mógł od niej chcieć?

W końcu, zrozumiał. Marissa wcale nie chciała jechać do Broken Spur, mimo że wszyscy uznali, że to najbezpieczniejsze dla niej miejsce. Dlatego że tu będzie mieszkać sam na sam z Jeffersonem. Gdy miała przy sobie przyjaciół - Juana i Martę, gdy w pobliżu kręcili się ludzie Simona, dobrze się czuła w towarzystwie Jeffersona. A przynajmniej na tyle dobrze, że mogła normalnie funkcjonować.

- Ale, kiedy znaleźliśmy się sami ze sobą, to było dla ciebie za trudne!... - mruknął nieświadomie przez zaciśnięte zęby.

- Słucham? - odezwała się Marissa.

- Nic. Myślałem tylko...

- Co myślałeś? - Że zwariowała? Że jest niewdzięczna. Może żałował, że otrzymał jej wiadomość? W końcu, biorąc pod uwagę jej zachowanie, to nie byłoby nic dziwnego. - Na pewno myślałeś, że jestem okropna, nieczuła, szorstka... Tyle dla mnie zrobiłeś, w jednej chwili zostawiłeś dla mnie wszystko, a ja... Myślisz, że jestem wobec ciebie strasznie niewdzięczna.

- Nie potrafisz być okropna, Marisso, nawet gdybyś tego chciała. Ani nieczuła, ani szorstka. I wcale nie chcę twojej wdzięczności. -

Jeffersonowi przypomniało się, że już raz to powiedział. - Ale to nie

ma w tej chwili znaczenia. - Omal nie przejechał dzikiego królika. Wyminął go, szarpiąc gwałtownie kierownicę. - Ważne jest to, żebyś zamieszkała na ranczu i czuła się tu dobrze. Za dwa tygodnie czy miesiąc w sąsiedniej posiadłości pojawią się Juan i Marta.

- Dwa tygodnie lub miesiąc... To jak cała wieczność. - Marissa ucieszyła się ze zmiany tematu. Miała ochotę wytłumaczyć, jak wspaniała perspektywa pojawiła się przed rodziną Eliów. Powstrzymała się jednak. Jefferson nie chciałby, żeby dziękowała mu znowu za to, co zrobił dla nich. - Tęsknię za nimi - przyznała. - Zwłaszcza za Alejandro.

- Kochasz to dziecko, prawda?

Spuściła wzrok.

- Kocham jak własnego synka.

Słysząc było, że znów cierpi, chyba z innego powodu niż przed paroma chwilami. Cade zastanawiał się, czy była szczęśliwa jako żona Paula Reia, bogacza i człowieka o dużych wpływach. Może jej życie wcale nie było takie wspaniałe? Marissa kryła przed Jeffersonem i innymi wiele tajemnic. Smutnych tajemnic.

Znów miał ochotę jej dotykać, przytulić. Zamiast tego zaczął mówić:

- Wiem, że nie chciałaś tu przyjechać. Ale tak jest najlepiej. Kiedy już się przyzwyczaisz i zaczniesz pracować na ranczu, zobaczysz, że można żyć w kanionie Sunrise. Spodoba ci się tu. Przynajmniej to mogę ci obiecać.

- Tu? - powtórzyła i z ciekawością wyjrzała przez okno. Niby patrzyła przez nie cały czas, ale przez ostatnie kilometry była tak

pograżona w myślach, że nie zwracała uwagi na piękno mijanej okolicy. Wyteżyła wzrok, żeby zobaczyć wspaniałe pasmo górskie, o którym tyle słyszała. - Czy tu jest Broken Spur?

- Jeszcze nie, ale za chwilę będzie,

- W takim razie to ziemia Benedicta. - Słyszała nawet o Rafter B, olbrzymiej posiadłości Jake'a Benedicta.

- Owszem. Jedziemy przez nią od prawie czterech godzin.

- Naprawdę? Jest aż tak rozległa? W takim razie jest porównywalna z największymi estancias Argentyny.

- Jest naprawdę wielka - zgodził się Jefferson. - Gdyby parę lat temu Jake'owi udało się to, co planował, byłaby jeszcze większa. Chciał mieć jeszcze kanion Sunrise Steve'a Cody'ego.

- Ale go nie ma. - Marissa cieszyła się, że może rozmawiać o czymś innym niż jej kłopoty. - Dlaczego mu się nie udało?

- Zapowiadało się nieźle. Ale nie wyszło.

- Dlaczego? - chciała się dowiedzieć Marissa.

- Steve dostał wszystko, czego chciał. Jest właścicielem Broken Spur, a do tego ożenił się z córką Jake'a, Savannah.

- Savannah Benedict Cody. Obecnie mieszka w Wielkiej Brytanii, razem z mężem i córeczką Jakie - powiedziała ze śmiechem Marissa. Ona także od dawna się nie śmiała. - Spełnił się ich sen.

- To nie był sen - zaprotestował Cade. - To prawdziwa miłość. Rzeczywiście, teraz Steve ma i ranczo, i jest z ukochaną kobietą. Ale gdyby miał wybierać...

- Wybrałby Savannah - dokończyła Marissa.

- Z całą pewnością.

- Na wszystkim stracił tylko Jake Benedict.

- W końcu okazało się, że on także zyskał. Dzięki Sandy'emu Gannonowi i dziecku, również o imieniu Jakie. Ale to długa historia. - Jefferson zatrzymał samochód. Wsiadł, otworzył Marissie drzwi i, nie dotykając jej, powiedział: - Chodź ze mną.

Poprowadził ją przez nierówny teren na skraj przepaści. Jako dżentelmen z Południa uważał, że powinien wziąć ją pod rękę, ale powstrzymał się.

Księżyc akurat świecił prosto na strumień, zmieniając go w migotliwą, srebrzystą wstęgę. Rozjaśniał kanion, porośnięty sięgającą do pasa trawą. W dole pasło się kilka koni; reszta stada schodziła z pastwiska w głębi kanionu.

W pobliżu strumienia stała stajnia. Za osikowym zagajnikiem widać było w ciemności dom, nie większy od zwykłej chaty. Człowiek, którego Sandy przysłał tu na dziś do pracy, skończył już robotę i wrócił do Rafter B. Jefferson wykonał szeroki gest.

- Oto kanion Sunrise i Broken Spur, Marisso. Dom Steve'a i Savannah Codych. I, na jakiś czas, także twój.

Marissa patrzyła w milczeniu na kanion. Był podłużny, nie brakowało w nim dobrej trawy ani wody. Stanowił wspaniałe, naturalnie ogrodzone pastwisko dla koni. I świetne miejsce dla kogoś, kto, tak jak ona, kochał konie.

Jefferson uważał także, że to świetne miejsce dla jego ukochanej, która potrzebowała czasu na wyleczenie psychicznych ran. Mogła schować się tu nie tylko przed groźnym argentyńskim mafioso, ale także przed własnymi złymi myślami i lękami.

Spojrzała na Jeffersona i uśmiechnęła się. Cade miał nadzieję, że w tym momencie zaczęło się jej dochodzenie do siebie. Uśmiech był bardzo nieznaczny, ale szczery, miły, radosny, nie zniekształcony bólem.

Znowu popatrzyła na kanion. Ciągle się uśmiechała.

- Pięknie tu, Jeffersonie! - powiedziała.

- Tak. - Wiedział, iż to dobrze, że tu przyjechała.

Oglądana z dołu, ziemia Steve'a Cody'ego przedstawiała sobą równie atrakcyjny widok. Wsiadłszy z półciężarówki, Marissa obróciła się powoli wkoło.

- Nie dziwię się, że Jake Benedict chciał zostać właścicielem tego miejsca. Każdy ranczer by chciał - powiedziała. - Ale myślałam, że Broken Spur jest większe.

- Mogłoby być. Steve nie miał pieniędzy, na początku pracował tu sam. Czasem pomógł mu ktoś z pracowników sąsiedniej posiadłości.

- Na przykład niejaki Jeffie?

- Rzeczywiście, wpadałem tu kilkakrotnie. Sandy Gannon także. Nawet, kiedy toczył się spór między Steve'em a Jake'em. Sandy i Steve nigdy nie kłócili się, nie mieszały w to spraw osobistych. Tak samo było z Savannah.

- Tu chyba naprawdę rozegrał się romans.

- To prawda. - Jefferson odsunął się, żeby bliskość Marissy mniej go kusiała. - Jest tu ktoś, z kim chciałbym cię poznać.

- Tutaj?!... - W domu nie świeciło się, w stajni było cicho. Nikt nie nadjeżdżał. - To znaczy, teraz?

- Tak. Ma na imię Szatan. Chyba go polubisz. I wiem, że on cię pokocha.

- Pokocha mnie? I ma na imię Szatan?

- Owszem. - Jefferson uśmiechnął się.

- De nóg ma ten Szatan? Niech zgadnę - pewnie cztery.

- Zgadłaś.

- To męskie imię. Czy Szatan znajduje się w stajni?

- Czasami tam bywa, chociaż zazwyczaj jest gdzie indziej.

- To nie jest koń.

- Nie.

- Nie wyglądasz na faceta, który lubi koty - oceniła Marissa. - Chyba żeby to był ryś. - Pokręciła głową. - Ale ryś i konie... W takim razie, najprawdopodobniej zostaje nam - pies.

W odpowiedzi, Jefferson gwizdnął przeraźliwie. Po chwili rozległo się basowe szczekanie i radosne skomlenie. Ciężkie łapy opadały rytmicznie na czerwoną ziemię.

Czarny, ledwie widoczny pośród mroku kształt dopadł Jeffersona. Cade przewrócił się. Rozległ się jego śmiech.

Po jakimś czasie powitalna szamotanina ustała. Jefferson złapał czule ogromnego psa za głowę i wstał.

- Marisso, to jest Szatan.

Marissa natychmiast kucnęła, bez obawy patrząc w oczy pięknemu zwierzęciu.

- Cześć, Szatan. - Pogłaskała długi pysk dobermana. - Miło cię poznać.

Jefferson czujnie obserwował zachowanie się psa. Ten jednak podskakiwał radośnie niczym szczeniaczek, natychmiast ulegając czarowi kobiety, która rozumiała się ze zwierzętami jak mało kto. Kiedy w końcu się podniosła, Cade wiedział już, że Szatan zakochał się w Marissie od pierwszego wejrzenia. Nie on jeden, pomyślał Jefferson.

- Jeśli mogę was od siebie oderwać, powinienem pokazać teraz Marissie jej nowy dom...

Poszli do drewnianego domu we trójkę. Jefferson wiedział, że od tej chwili Szatan nie będzie odstępował Marissy na krok.

Cade pokazał Marissie jej sypialnię na piętrze, a potem wrócił na parter, gdzie był jego pokój. Szatan pozostał przy swojej nowej znajomej, za jej pozwoleniem.

Jefferson leżał długo, nie mogąc zasnąć. Myślał o ukochanej kobiecie, która znajdowała się tuż obok, a jednak nie mógł jej dotknąć.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Auu! Cholera jasna! - zaklął Jefferson i stał krew z reki. Naprawiał właśnie ogrodzenie z drutu kolczastego i zagapił się. Ręka krwawiła. Wyciągnął więc bandanę i owiązał nią dłoń. Powinien był uważać, jednak wciąż nie umiał oderwać wzroku ani myśli od Marissy. Była w kanionie już od dwóch tygodni. Oboje postępowali ostrożnie. Zgodzili się nie dyskutować o niczym osobistym, poza codziennymi sprawami związanymi z życiem na ranchu.

- Zachowujemy się jak obcy sobie ludzie! - burknął ze złością i znowu popatrzył na Marissę. Podziwiał ją.

Wykonywała dużą część prac. Zajmowała się końmi i wszystkim innym, czym było trzeba się zająć. Pracowała już od pierwszego dnia. Nawet wówczas nie spała do późna, tylko pierwsza wstała i zaczęła robić śniadanie. Jak gdyby mieszkała w Broken Spur od dawna.

Jefferson nie pamiętał, co wówczas poczuł. Ostatnie, czego się spodziewał, to spotkać w kuchni piękną kobietę, która akurat wyjmuje ciastka z piekarnika. Pięć minut później postawiła przed nim na stole jajka na bekonie i kawę.

- Zapracowuję na swoje mieszkanie - oświadczyła, kiedy zaprotestował. - Tak musi być. - Jej słowa zabrzmiały stanowczo, a jednocześnie łagodnie i to zakończyło dyskusję raz na zawsze.

Każdego z następnych dni, dokładnie o piątej trzydzieści, śniadanie było na stole. Zanim Jefferson wyszedł, reszta bekonu, kiełbasek czy cokolwiek Marissa podała, była zawinięta w serwetkę i

przygotowana jako lunch dla Jeffersona. Tylko dlatego, że powiedział jej, iż ma zwyczaj zabierać lunch ze sobą do kanionu. Kolacja była zawsze prosta, ale obfita, a co najważniejsze, zawsze gotowa pod koniec długiego, pracowitego dnia Cade'a. Poza tym, Marissa miała dar przygotowywania najprostszych potraw w smaczny, urozmaicony sposób.

Przez cały czas nie zbliżali się do siebie. Zastanawiał się, jak długo jeszcze może to trwać.

Zatamowawszy krew, Cade poluźnił odpowiednio chustkę i zawiązał ją jako bandaż. Znowu spojrzał w stronę zagrody, gdzie Marissa prowadziła pierwsze szkolenie niedawno kupionej źrebicy.

Widok był nader przyjemny, jednak Jefferson musiał uważać na to, co sam robił. Dokończył naprawiać ogrodzenie, zebrał narzędzia i wstał, próbując odczytać czas z położenia słońca. Dochodziło południe, pora na lunch. Było gorąco i za godzinę, dwie będzie jeszcze goręcej. Źrebica nie powinna męczyć się zbyt długo na dworze. Ale nie będzie przeszkadzał Marissie; sama zdawała sobie sprawę z tego, że zwierzę nie może się przegrzać. Podobnie jak on, bardziej chyba troszczyła się o konie niż o siebie.

Zamiast sięgać po termos, Cade podszedł do strumienia, w miejscu, gdzie woda była głęboka i czysta, tuż przed rozgałęzieniem strumienia na dwie odnogi. W tym miejscu była najśodsza. Jefferson przyklęknął pod drzewem i zaczerpnął zdrową ręką wody do ust. Zaspokoiwszy pragnienie, przemył ranę i, ściągawszy kapelusz, ochlapał sobie twarz i włosy. Woda ochłodziła jego rozgrzane ciało. Znowu popatrzył w stronę Marissy.

Zagroda była pusta. Marissa zaprowadziła już źrebicę do stajni. Cade owinął z powrotem rękę, dosiadł swojej klaczy i także ruszył do stajni. Do Marissy.

- Dobra dziewczynka... - mówiła do zwierzęcia Marissa, czesząc je. - Jesteś śliczna. I inteligentna. Nie mówiąc już o twoim pochodzeniu.

Usłyszała jakiś odgłos od strony drzwi. Odwróciła się i znieruchomiała. Serce zabiło jej mocno.

- Jefferson!... - odezwała się.

Słońce podświetlało go od tyłu, rysując na tle odrzwi jego ciemną sylwetkę. Miał szerokie ramiona, wąskie biodra, był szczupły, ubrany w kowbojski kapelusz, koszulę, dżinsy i wysokie buty. Nigdy nie знаła kogoś takiego jak on. To byłoby zresztą niemożliwe.

- Od dawna tu stoisz? - spytała.

- Chwilę. - Dość długo, aby zobaczyć, jak łagodnie Marissa obchodzi się ze źrebicą i uspokajają głosem. Potrafiła zjednać sobie każde zwierzę, nawet Gitano, hiszpańskiego ogiera Steve'a, i Black Jacka, niespokojnego ogiera Savannah. Tęsknił za swoją panią, dopóki nie pojawiła się Marissa. - Gdzie twój ochroniarz? - Jefferson miał na myśli Szatana.

- Pewnie znudził się, kiedy pracowałam z tą małą. - Odłożyła grzebień i szczotkę i zamknęła boks.

Znowu rozmawiali o zwierzętach. Był to ich najbezpieczniejszy wspólny temat. Odwracał uwagę Jeffersona od tego, czego chciał. Czego chciał!..

- Jadłaś już lunch, Marisso? - spytał nagle, zanim zdążył cokolwiek pomyśleć.

Zmiana tonu głosu i zachowania się Jeffersona zaskoczyła Marissę.

- A jest już odpowiednia pora?

- Już minęła - odpowiedział Cade, podchodząc trochę bliżej. - Powinienem także już dawno wybrać się w głąb kanionu i zobaczyć, co się dzieje z tamtą częścią stada. Pomyślałem, że może weźmiesz jedzenie i pojedziesz ze mną. Jest tam miłe miejsce na piknik.

Marissa już dawno chciała przejechać się przez kanion z Jeffersonem. Zbliżył się jeszcze bardziej. Patrzyła na niego. Był zabójczo męski i nieprawdopodobnie przystojny. W tej chwili nie była w stanie myśleć o niczym innym, tylko o nim. Ale nie będzie przeszkadzać mu w pracy.

- Nie chcę odciągać cię od zajęć - powiedziała.

- Nie byłoby mądrze zostawiać cię tutaj. Nawet z Szatanem.

- Rozumiem. - Poczula się rozczarowana. Zaproponował jej wspólną jazdę z obowiązku chronienia jej. Nie dlatego, że miał ochotę. Ale co w tym dziwnego? Przecież to ona traktowała go niczym wroga. To wszystko była jej wina.

Ale, z drugiej strony, jak kobieta, która owdowiała tak niedawno, mogła dopuścić do rozbudzenia w sobie długo uspiętego pożądania w stosunku do innego mężczyzny? Czy sam Jefferson nie czułby obrzydzenia z powodu jej niewierności zmarłemu tragicznie mężowi, choć już nie żył, a ich małżeństwo zostało zaaranżowane przez jej rodziców?

- Marisso?

Jefferson dziwił się, czemu milczała. Podszedł jeszcze bliżej i poczuła jego zapach. Zapach, który sprawiał... Nie! Odwróciła się niego plecami. Nie mogła pozwolić sobie na takie myśli. Sięgnęła po siodło, ale Jefferson wyprzedził ją i zaniósł do pomieszczenia na uprząż.

- I jak? Chcesz pojechać ze mną do kanionu? - spytał, wróciwszy.

- T... Nie. - Stała ze spuszczoną głową. Nagle, porzucając ostrożność, podniosła wzrok i zmieniła decyzję: -Tak. - Zdobyła się na odwagę. - Tak. Chciałabym pojechać z tobą, Jeffersonie.

Cade bez słowa sięgnął po uprząż.

- Sprowadzę z pastwiska Black Jacka i Lady. Savannah ją uwielbia, prawie tak samo jak Black Jacka. Osiodłam konie i będę czekał.

Nagle Marissa złapała go za nadgarstek, choć nie dotykali się od tygodni.

- Jeffersonie! Co się stało?!... - Nie mogła oderwać wzroku od nasiąkniętej krwią chustki.

- Ugryzł mnie drut kolczasty - odparł Jefferson, wzruszając ramionami. - Zdarza się.

- Nie żartuj sobie. Dobrze wiesz, że taka rana potrafi być niebezpieczna. Czy szczepiłeś się ostatnio przeciwko tężcowi? Jak głęboko wbił ci się ten drut? Wyczyściłeś ranę? Możesz dostać zakażenia albo czegoś gorszego. Trzeba było mi powiedzieć.

Pomogłabym ci. Przecież wiesz... - Zabrakło jej tchu.

- Skończyłaś już? - uśmiechnął się. - Zaraz ci wyjaśnię.

- Dopiero zaczęłam. Posłucham twojego tłumaczenia, ale wątpię, żeby było dobre. - Nie puszczała ręki Jeffersona, jakby bała się, że się jej wymknie.

Była to ostatnia rzecz, na jaką Cade miał ochotę.

- Wiem, że takie zranienie bywa niebezpieczne - powiedział. -

Ale szczepiłem się w zeszłym roku i jestem na kilka lat zabezpieczony przed tężcem, Drut nie wszedł głęboko, chociaż rozorał mi skórę.

Przemyślałem ranę w strumieniu, żeby nie dostać infekcji. A nic ci nie mówiłem, żeby nie przerywać ci szkolenia żrebicy. I... wiem, że byś mi pomogła - zakończył łagodnie.

- A jednak nie poprosiłeś mnie o pomoc.

- Jestem już dużym chłopcem, kochanie. Mieszkałem tu sam od ponad roku i dawałem sobie świetnie radę, tak samo jak wcześniej. - Słowo „kochanie” Jefferson wypowiedział niechętnie. Tak naturalnie mu to wyszło. Marissa nie skrzywiła się. Uśmiechnął się więc szerzej. Może nadejdą lepsze dni? - Być może zbyt długo byłem całkiem sam - stwierdził. - Jeśli chcesz pozajmować się moją dłonią jeszcze trochę, to bardzo proszę.

- Mam zamiar to zrobić - odpowiedziała i niemal zaciągnęła go do domu. Zdawała sobie sprawę, że samotne życie w kanionie było niebezpieczne. Przecież koń mógł zrzucić Jeffersona albo go przygnieść. Mógł go ukąsić wąż. Mógł też spaść na niego z góry kawałek skały.

Marissa kazała mu usiąść przy kuchennym stole i czekać. Okazał jej posłuszeństwo.

Sięgnęła po apteczkę, po czym napełniła czystą miskę ciepłą wodą. Wróciła do stołu z ręcznikiem i mydłem. Usiadła; jej kolana dotykały kolan Jeffersona. Odwinęła chustkę i jęknęła.

- Ten drut zrobił ci prawdziwą krzywdę!

- Pękł, napięty, i szarpnął się.

- Masz szczęście, że nie stało ci się nic gorszego. Marissa zaczęła ostrożnie myć ranę Jeffersona.

- Nie chcę zrobić ci krzywdy...

- Nie zrobisz, kochanie - szepnął.

Stopniowo, jej dłonie przestały się poruszać. Trzymały jego dłoni. Podniosła wzrok i zobaczyła, że Jefferson czeka na nią. Jej ciemne oczy spotkały się z jego niebieskimi. Szukały w nich czegoś. I chyba znalazły. Jefferson nagle uśmiechnął się.

- Nigdy nie zrobiłaś mi krzywdy, wiesz?

Nie wiedziała, co ma odpowiedzieć, ani nawet, co czuje. Nie odwracała jednak wzroku, aż Jefferson złapał jej dłonie w swoje.

- Czy myśli pani, że przeżyję, pani doktor? - spytał z niby poważną miną.

- Niewykluczone - odpowiedziała Marissa, opanowując się. - Pod warunkiem, że odkażę panu ranę i że nie zabrudzi pan bandaża.

- To piecze. Ale spróbuję być dzielny.

- Będiesz. Zawsze byłeś dzielny - odparła z powagą. Kiedy kończyła opatrywać mu porządnie ranę, Jefferson odezwał się:

- Znasz się na tym, co? Potrafiłabyś założyć mi szwy, gdybym tego potrzebował.

- Studiowałam medycynę. Najbardziej dogłębnie -położnictwo, żeby pomagać przy porodach w argentyńskich estancias. Oczywiście, nie miałam zamiaru pracować w zawodzie, ale ukończyłam studia. - Głos załamał jej się nieco, ale kontynuowała: - Ta podróż samolotem miała być właśnie z okazji mojego, dyplomu. Jednak mały Alejandro zachorował i postanowiłam, że dołączę do Paula i rodziców później...

Jefferson znów miał ochotę przy tulić Marissę i sprawić, żeby zrozumiała, że ten samolot i tak by się roztrzaskał, nawet gdyby nim leciała. I że to nie jej wina. Ale wiedział, że nie przekona jej o tym jednym uściskiem. Trzeba było na to więcej czasu. Wybrał więc inny temat:

- Ukończyłaś studia, ale nie zamierzałaś pracować jako lekarka. Twój mąż nie chciał, żebyś pracowała.

- Paulo podchodził do kobiet w staroświecki sposób. Ale był dobrym człowiekiem, Jeffersonie. Nadzwyczaj hojnym. Miłszym i bardziej wybaczącym, niż na to zasługiwałam.

- Marissa zakończyła opatrywanie rany. Nie było już powodu, by dotykać Jeffersona. - Nasze małżeństwo nic zostało zawarte z miłości, ale Paulo był dobry, uprzejmy, pomocny.

- Dobry, miły, pomocny - powtórzył Jefferson.

- Taki właśnie był.

- Ale nie kochałaś go. - Cade zrozumiał to dopiero po dłuższym czasie. To było jedyne wytłumaczenie jej zachowania. Popatrzyła na niego z przerażeniem rzałem. Prawda musiała być dla niej bolesna. - Czy go kochałaś, Marisso? - spytał Jefferson.

Pobladła, a jej oczy straciły żywy blask.

- Oczywiście, że go kochałam. Trudno byłoby go nie kochać.
Každy, kto znał Paula, kochał go.

- Každy go kochał, i ty także. - Jefferson rozumiał. Przyjaciel jej ojca był dla niej dobry. Cade cieszył się, że Marissa była w stanie to docenić, że sama jest dobra i wrażliwa. Ale może nie odpowiadała tylko na uprzejmość męża. Jefferson poczuł, że musiało w tym być coś więcej.

- Kochałaś Paula - stwierdził i szedł dalej za swoimi przeczuciami. - Ale nie byłaś w nim zakochana.

Marissa wstała gwałtownie, omal nie przewracając krzesła. Pozbierała materiały opatrunkowe i zabrała apteczkę. Nie odpowiedziała na pytanie.

- Czy byłaś zakochana w Paulu? - powtórzył. Zatrzymała się i wzięła głęboki oddech.

- Nie, Jeffersonie. Nigdy nie zakochałam się w Paulu. To nie był związek tego rodzaju.

Cade wiedział, że właśnie to stanowi zasadniczy składnik jej winy. Miał jej więcej pytań do zadania, ale nie chciał jej teraz dłużej męczyć. Wstał.

- Dziękuję ci - powiedział. - Czy masz jeszcze ochotę na przejażdżkę? - Skinęła głową. - Pójdę osiodłać konie.

Rozmyślając, Marissa ruszyła do spiżarni po jedzenie na zaimprovizowany piknik.

Droga była nierówna, szła w górę, omijała głązy, krzaki i kaktusy. Gleba była mieszana - kruszejący detritus, piach, czerwonoziem. Miejscami szlak się zwiężał i trzeba było uważać na

wystające skały, żeby nie rozbić sobie kolana czy kostki. Jefferson prowadził jednak bardzo fachowo, rzucając ostrzeżenia, kiedy było trzeba. Marissa nie dziwiła się, dlaczego wybrał akurat Black Jacka i Lady. Konie znakomicie radziły sobie z nierównościami. Tylko Szatan był w tym jeszcze lepszy i biegł przodem.

- Wiesz - odezwała się Marissa - w chodzie tej źrebicy, którą dzisiaj szkoliłam, jest Coś takiego... Mam przeczucie, że będzie z niej doskonały górski koń.

Jefferson podziwiał intuicję Marissy względem koni.

- Zaprowadzimy ją w głąb kanionu, kiedy uznasz, że jest już gotowa - odpowiedział. - Będzie można ją sprawdzić.

- Jeśli jeszcze tu będę, kiedy źrebica będzie gotowa do tej próby - odparła Marissa.

Jefferson zeszywniał i jego koń się zaniepokoił. Musiał go pogłaskać i rzucić mu ciepłe słowo.

Marissa patrzyła na długie, schowane w rękawiczkach > palce Jeffersona, jak pieszczą konia. Jego dłonie miały niesamowity wpływ na wszelkie żywe istoty, ale nie dzięki sile, lecz delikatności. Cade był męski i łagodny zarazem. Zawsze taki był.

Jego bracia często wdawali się za młodu w bójki. Nie rozpoczynali ich celowo, ale nie unikali ich również i z reguły zwyciężali. Jefferson brał udział w bójce tylko raz i skończyło się to pójściem jego brata Adamsa do więzienia. Marissa wiedziała tylko, że Jefferson miał wówczas około dwunastu lat. Ktoś bardzo go obraził i Jefferson chciał się zemścić. Adams bał się o niego i ruszył za nim. Co się dalej stało, pozostawało od lat tajemnicą.

Kiedy zamknięto Adamsa, Jefferson zaczął uciekać z domu na bagna. Po jakimś czasie prawda wyszła na światło dzienne i Adams został oczyszczony z zarzutów. Przebaczył Jeffersonowi, tak jak i reszta rodziny.

Za to Jefferson nie przebaczył sobie. W latach ich przyjaźni tylko na ten jeden temat nie chciał z Marissa rozmawiać. Mimo że całe zdarzenie odmieniło nieodwracalnie jego życie. To przez nie zaczął unikać braci.

Marissa słyszała plotki, ale wówczas sama była za młoda, żeby w pełni zrozumieć, co się stało. Znała jednak ważną prawdę. Najstarszy i najmłodszy z czterech braci Cade'ów uratowali się wzajemnie tamtego wieczora. Nie słyszała nigdy tej historii z ust Jeffersona, który obwinił się za jej skutki. Ale właśnie teraz, tu, w odległym od Południowej Karoliny kanionie, pomyślała, że bardzo chciałaby usłyszeć ją z ust Jeffersona Cade'a.

Dlatego, że wówczas zaczęłyby lepiej rozumieć tego dobrego człowieka. Dlatego, że byli do siebie bardzo podobni. Oboje przeżyli tragedię i być może, zrozumiawszy jego, byłaby w stanie lepiej zrozumieć siebie.

Palce Jeffersona pieściły konia, dodawały mu odwagi. Przed czterema laty, kiedy pieściły Marissę, Jefferson także dodawał jej odwagi, szykował na to, co miała zrobić. Znow by ją pieściły, gdyby tylko zechciała. Magiczne dłonie Jeffersona.

- Odtąd droga idzie w dół i jest już łatwa - odezwał się Cade. -
Będzie jeszcze tylko jedno trudne miejsce. No i zawsze trzeba uważać na spadające odłamki skał.

- Jestem gotowa. - Marissa nie wiedziała, na co właściwie jest gotowa. Czowała jednak, że w jej wnętrzu coś się zmienia. Powoli, lecz nieubłaganie. - Jestem, a w każdym razie będę - dodała. - Któregoś dnia. Niedługo.

Przez chwilę galopowali. Wokół było bardzo pięknie, W końcu dotarli do miejsca, gdzie pojedynczy drut wyznaczał zagrodę. Dał się słyszeć szum strumienia. Roślinność, skały, ziemia, niebo zawierały w sobie wszystkie kolory tęczy. Zsiedli z koni.

- Rozejrzyj się, a ja sprawdzę, co robią konie - powiedział Jefferson. - Spotkajmy się przy strumieniu. - Znow powstrzymał pragnienie dotykania i całowania Marissy. - Nabrałaś apetytu?

- Tak. - Zdała sobie sprawę, że nie czuła tak zdrowego głodu od dnia śmierci najbliższych. - Przygotuję jedzenie, które włożyłam do sakwy. Przepraszam cię, bo jest tego niewiele. Gdzie chciałbyś, żebyśmy usiedli?

- Gdzie ty wybierzesz. Zgodzę się na wszystko, co postanowisz. - Marissa popatrzyła za nim. Ostatnie zdanie wypowiedział dziwnym tonem.

Marissa wybrała miejsce koło strumyka, pod rozległą koroną topoli amerykańskiej. Mieli tylko ciasteczka i bekon ze śniadania oraz termos pełen mocnej czarnej kawy, jaką lubił Jefferson. Marissa wolała wodę ze strumyka. Rozłożyła to, co zabrała, na starym kocu. Oboje nie byli przyzwyczajeni do obfitych posiłków w środku upalnego dnia. Silniej odczuwali pragnienie niż głód.

- Pięknie tu - odezwała się, kiedy Jefferson wrócił.

- Tak.

- Co z końmi?

- Wszystko w porządku. Jest tu dobra trawa, ale za jakiś tydzień powinniśmy przeprowadzić stąd konie.

Powiedział: „powinniśmy”.

- Czy będziemy potrzebować pomocy? - spytała.

- Konie znają już szlak. Poradziłyby sobie z nimi nawet jedna osoba, chociaż dwóm osobom będzie łatwiej. Nie potrzeba nikogo trzeciego.

- Jesteś głodny?

- Czy jestem głodny? - Jefferson roześmiał się. Owszem. Był tak głodny, jak nigdy. Za długo siedział tu w samotności. Ale nie chodziło o głód jedzenia. – Bardzo - mruknął. - Jestem głodny jak niedźwiedź.

- Jak niedźwiedź? Chyba jak wilk. Może, ewentualnie, jak tygrys albo ryś - Marissa patrzyła na całą postać Jeffersona, co zwiększało jeszcze jego udrękę. - Ale nie mogę wyobrazić sobie ciebie jako niedźwiedzia. - Zaczynała się uśmiechać, ale zobaczyła, że bandaż nasiąknął krwią.

- Znowu krwawisz!

- To nic. - Dotknęła jego nadgarstka, ale on szarpnął się w tył. - Nie dotykaj mnie, błagam cię! Nie teraz! Nie tutaj!...

Opuściła rękę i zbladła. Piękno otoczenia przestało ją cieszyć.

- Zasłużyłam sobie na to. Przepraszam.

Jefferson żałował tego, co przed chwilą powiedział. Zastanawiał się, jak jej wytłumaczyć, co czuje.

- Po tym, jak zachowywałam się wobec ciebie, nie dziwię się, że nie chcesz, żebym cię dotykała.

- Nie chcę, żebyś mnie dotykała?! Tak ci się zdaje?! Popatrz na mnie. Spójrz mi w oczy i sama zobacz, jak bardzo pragnę twojego dotyku. I nie tylko dotyku! Pragnę więcej, niż jesteś gotowa mi dać...

- I nie gniewasz się na mnie za moje zachowanie?

- Nie. Od początku się nie gniewam. Owszem, zdziwiło mnie. Ale po pewnym czasie zrozumiałem je. Musisz przeżyć okres żałoby, dojść do siebie. Ale, żebyś dobrze mnie zrozumiała, bardzo cię pragnę, Marisso. Chcę, żebyś mnie dotykała, całowała. Chcę twojej miłości i... tak, pożądam cię. Pragnę ciebie Marisso. To wszystko. Poczekam na odpowiedni czas. Nie chcę niczego przyspieszać, narzucać ci się, kochanie. Jednak, jeśli tamto pożegnanie w domku na drzewie nie znaczyło tego, co myślałem, to znaczy, jeżeli wtedy mnie nie kochałaś, powiedz mi to teraz.

Wyznał jej wszystko. Marissa wzięła głęboki oddech i zamknęła oczy. Nie mogła zaprzeczyć prawdzie.

- Kochałam cię wtedy.

Jefferson wyciągnął do Marissy rękę, łamiąc zasady, które ustalili na inny czas, który właśnie się zakończył. Otoczył ją ramionami i przytulił, a ona przylgnęła do niego.

- To dobry początek, który na razie mi wystarczy - powiedział. Musnął ustami jej włosy. - Dojdziemy do wszystkiego po kolei. Wcześniej czy później rozwiążemy wszystkie trudne sprawy. Wszystkie - powtórzył ponuro, przypominając sobie o Menendezie.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Ach! - Marissa zsiadła z ulgą z konia, a właściwie zsunęła się z siodła na ziemię. Wyprostowała się z kolejnym jękiem. Była cała zeszywniała, przepocona i brudna. Ale czuła zadowolenie z odbytego wysiłku, z długiego ćwiczenia mięśni;

Dzień zaczął się tak jak zwykle. Wstała o piątej, o wpół do szóstej podała śniadanie. O szóstej karmiła już konie. Potem szkoliła piękną młodą klacz którą zaczęła nazywać Bonita. Dzisiejsze szkolenie było długie. Nie dlatego, żeby Bonicie źle szło. Przeciwnie, widać było, że klaczy podoba się to co robi. Okazywała się zdolnym i pracowitym wierzchowcem. Dobrze czuła jeźdźca.

Słońce stało już wysoko i zrobiło się bardzo gorąco. Był już początek lata. Zakończywszy szkolenie klaczy, Marissa wybrała się na drugą jazdę z Jeffersonem do ciénaga. Cade powiedział, że właśnie tak Savannah Cody nazwała oddaloną część kanionu, kiedy była jeszcze dziewczynką. Przyjeżdżała wtedy często do kanionu, zmęczona panującą w domu atmosferą.

Najdalsza część kanionu w niczym nie przypominała moczarów, co oznaczała nadana przez dziewczynkę nazwa. Ale nazwa ta pasowała jakoś, zdaniem Marissy do tamtego miejsca.

Kiedy wracali z Jeffersonem z głębi kanionu po raz pierwszy, Marissa czuła w sobie rozpoczynającą się przemianę. Jeszcze nic konkretnego, ale coś, co dawało nadzieję na lepszą przyszłość. Na

nowe życie. Dziś pojechali tam wyłącznie do pracy. Razem przeprowadzili stado w pobliże domu.

Zadanie było męczące, ale nie przesadnie trudne. Zawsze któryś koń odchodził na bok i trzeba było zawracać go z powrotem na szlak. Mimo to, stado trzymało się jednak razem. Marissa gwizdała i wołała cały dzień, aż zdarła sobie gardło. Wieczorem mięśnie nóg odmawiały jej już posłuszeństwa. Cała pokryta była czerwonym pyłem, który powychodził jej nawet między zęby. Zdjęła z Lady siodło i napoiła klacz. W istocie - Marissa od niepamiętnych czasów nie czuła się tak dobrze.

Zostawiwszy konia, podeszła do płotu i popatrzyła, jak dwa stada się mieszają. Roześmiała się.

- Piękny widok, co? - zawołał Jefferson, który napoił właśnie swojego wierzchowca. Był równie brudny i zmęczony, ale i równie zadowolony. Marissa popatrzyła na niego. Był piękny. Miał muskularne, nawykłe do pracy szerokie ramiona, płaski brzuch, prężne uda, mocne, długie nogi. Wyjątkowo przystojny mężczyzna.

Mężczyzna, który przybył do niej, kiedy potrzebowała jego pomocy. I dzielił z nią tę obecną chwilę.

- Nie wyobrażam sobie piękniejszego miejsca - odpowiedziała.

- Ciężki dzień, co? Czy nie wymęczyłem cię za bardzo, kochanie?

Teraz już ciągle nazywał ją „kochanie”. Pomimo żaloby i wciąż obecnego poczucia winy, Marissa czuła w sobie kojące ciepło za każdym razem, kiedy tak do niej mówił. Nauczyła się powstrzymać

przed wpatrywaniem się w niego czy dotykaniem go, ale to zachowanie wydawało się jej już sztuczne.

- Dzień był męczący, ale przyjemny i pożyteczny. Nie wymęczyłeś mnie za bardzo. Nigdy mnie nie męczysz. Dobrze czuć się przydatną. W Argentynie często jeździłam konno.

- Ale tylko dla przyjemności. Nie tak.

- Rzeczywiście. Czasami uciekałam. Kiedy na mnie nie patrzono, jeździłam mniej statecznie.

- Zwłaszcza z Juanem.

- Tak. Z Juanem mogłam być sobą. Nazywa mnie „Rissa” od dnia moich piątych urodzin. - Zacisnęła ręce, przypominając sobie bolesne przeżycie. - Właśnie zdiagnozowano wtedy chorobę mojej mamy. Ojciec był pochłonięty nią i interesami. Zawsze przeszkadzałam. Byłam żywym dzieckiem, zbyt żywym dla chorej matki i zapracowanego ojca. Tata postanowił więc zakorzenić we mnie jakąś pasję. Najłatwiej było o konie. W estancii był Juan - młodzieńki, znakomity jeździec. Najlepszy. Tego dnia zostałam oddana mu pod opiekę.

- To nie był najgorszy pomysł. - Jefferson nigdy nie poznał rodziców Marissy i nie zdoła wybaczyć im tego, że sprzedali ją za własny dobrobyt. Ale przynajmniej dali jej wyjątkowy prezent w postaci Juana.

- Nawet z pomocą Juana nie okazałam się idealną córką, jakiej potrzebowali moi rodzice - ciągnęła Marissa.

- Byłam dla nich obciążeniem. Dla Juana - nigdy. On oczekiwał tylko tego, żebym była sobą. Znał mnie tak dobrze, jak ja samą siebie.

Rozumiał mnie lepiej niż ktokolwiek inny. - Marissa popatrzyła na Jeffersona, w którym postrzegała wszystkie cechy swojego wymarzonego mężczyzny. - Lepiej niż ktokolwiek inny, poza tobą - dodała.

Cade milczał i nie poruszał się.

- Kiedy wróciłam do Argentyny i wyszłam za Paula - kontynuowała - tylko Juan rozumiał, że potrzebuję jakiegoś zajęcia. Pragnęłam pracy, jak głodny pragnie jedzenia. Ciężkiej pracy, która zajmowałaby mnie fizycznie i psychicznie, ogłupiała mnie wręcz. Juan wiedział, że tylko wtedy mogłabym złagodzić swój ból z powodu straty, jaką poniosłam.

- Czy masz na myśli utratę tego, co mogło być z nami? - upewnił się Jefferson.

Marissa po raz drugi otwierała się przed nim. Czowała, że nie jest w stanie powiedzieć wszystkiego naraz, uwolnić za jednym zamachem wszystkich uczuć. Ale mogła zrobić to stopniowo. Miłość Jeffersona umacniała ją.

- Tak, to właśnie mam na myśli. Zbyt późno odkryliśmy, co do siebie czujemy i nie było nam dane żyć razem. Ogarniało mnie także poczucie winy. Męczyło mnie przez całe lata z tego powodu, że nie potrafiłam kochać Paula. Dobrego człowieka, żyjącego według dawnych zasad i wartości. Liczącego, tak samo jak moi rodzice, że okażę się posłuszną córką. Wszyscy troje odebrali mi możliwość najważniejszego wyboru, jaki może podjąć młoda kobieta. Wyboru mężczyzny, którego będzie kochała i z którym spędzi życie z własnej

woli... Prosiłeś mnie, żebym została. - Marissa z wysiłkiem powstrzymała łzy. - Ale nie zostałam. Jak idiotka.

- Nie jak idiotka. Kochanie!... - Jefferson nie mógł pozwolić, żeby obwiniała się o jeszcze jedną rzecz. - Postąpiłaś tak, jak cię wychowano. Przecież twój ojciec był w desperacji. - W istocie, Cade nie wiedział, w jakiej desperacji musi być ojciec, żeby zrobić dziecku coś takiego, co zrobił Alexandre. Ale było już za późno, żeby to kiedykolwiek osądzić. - Wybrałaś to, co wybrałaby każda kochająca córka na twoim miejscu.

„Idealna córka”. Używając tego sformułowania, Marissa zdradziła, że od dziecka dostrzegała w sobie niedostatki, za które się winiła.

- Nie byłaś idealna, Marisso. Za to podejmowałaś najważniejsze wybory z miłości do najbliższych. Adams zrobił to samo i dlatego ja zawsze czułem się winny...

Marissa nie podnosiła wzroku. Cade zaryzykował i delikatnie unióśł palcem jej brodę.

- Z miłości do rodziców wyszłaś za człowieka, którego nie kochałaś. Z miłości do mnie Adams przyjął na siebie winę za cios, który ja zadałem w wywołanej przeze mnie bójce. Każde z was trafiło do swego rodzaju więzienia.

- Małżeństwo z Paulem nie było więzieniem, Jeffersonie. - Marissa nie miała zamiaru usprawiedliwiać się, krytykując swoje zakończone tragiczną śmiercią męża małżeństwo..

- Nie? - Teraz palec Jeffersona dotknął jej ust. Zadrżała, ale nie postąpiła naprzód ani nie wycofała się. - Podejrzewam, że gdybyście

porównali swoje wspomnienia, byłyby podobne. Tylko że w więzieniu, w jakim siedział Adams, było więcej wolności.

- Nie rób ze mnie męczennicy. Nigdy nie cierpiałam jako żona Paula.

- Być może nie. Ale czy nie uważasz się za ofiarę złożoną na ołtarzu bogatych?

Milczała. Uważała się za taką ofiarę.

Cade przesunął palcami po jej brodzie i szyi.

- Adams został pozbawiony wolności i przez lata nie mogłem sobie wybaczyć swojego bezsensownego postępu. Ale nawet więzienie nie odebrało Adamsowi tego, co małżeństwo odebrało tobie.

Marissa pomyślała teraz o jednej rzeczy, której w jej małżeństwie w ogóle nie było. O seksie. Jej małżeństwo z Paulem Reiem od początku było szczególnego rodzaju umową i nie mieli wobec siebie standardowych oczekiwań.

Była mu za to wdzięczna. Chciał od niej różnych rzeczy, ale fizycznego kontaktu nie domagał się nigdy. Okazał się w tym względzie bardziej powściągliwy i delikatny niż się spodziewała.

Zasługiwał na to, żeby wdowa po nim zachowała celibat.

Ale Jefferson także był względem niej powściągliwy i delikatny. I dobry. Zasługiwał na prawdę. Cofnęła się odrobinę, tak żeby przestali się dotykać, i wyznała coś, czego nie spodziewała się nigdy powiedzieć nikomu:

- Nasze małżeństwo z Paulem nie było zwyczajne. Umowa była... To znaczy... Ani razu nie doszło między nami do intymnego zbliżenia. Nigdy nie skonsumowaliśmy naszego małżeństwa.

To wyznanie zaszokowało Jeffersona. Żaden normalny mężczyzna nie zadowoliliby się platonicznym związkiem z tak atrakcyjną kobietą jak Marissa.

- To niemożliwe! - zawołał. Zadrżał. Marissa na pewno nie kłamała. Mężowi także by nie skłamała. - Powiedziałaś mu o nas. O tym, co robiliśmy w domku na drzewie.

- Tak. Spytał tylko, kim był mój kochanek. Potem wyznał, że podczas mojego pobytu w Belle Terre przeszedł chorobę, która spowodowała jego impotencję. Nie mógł żyć ze mną tak, jakby chciał, ani mieć ze mną dzieci. Ale pragnął jednak ożenić się ze mną. Nie miał do mnie pretensji, nie stawiał warunków. Zażądał tylko jednego ograniczenia - żadnych następnych kochanków. Co najbardziej zaskakujące, zaproponował mi odstąpienie od całej umowy i darowanie ojcu całego długu pomimo wszystko. - Marissa wzruszyła z żalem ramionami. - Groziły nam jednak plotki, być może skandal, którego chciałam oszczędzić matce. Mój ojciec straciłby honor.

- Co to za honor! - parsknął Jefferson. - Gdzie tu widzisz czyjkolwiek honor? Poza Własnym. Ty dotrzymałaś umowy.

Marissa patrzyła na niego blada i smutna.

- A czy ty nie zrobiłaś czegoś bardzo podobnego dla twojego ojca? Czy nie zdobyłaś się na wiele poświęceń dla dumy i spokoju ducha Gusa Cade'a? Czy większość dzieci nie poświęca się w którymś momencie życia dla rodziców? Czy którykolwiek z twoich braci postępował inaczej?

Irytacją Jeffersona minęła. Marissa była taka dzielna! Nie zamierzał marnować czasu, jaki mieli przed sobą, rozpamiętywaniem tego, który został stracony.

- Masz rację - powiedział. - Nie będziemy o tym więcej mówić.

- Może powinniśmy.

Jefferson bardzo pragnął usłyszeć resztę tego, co miała do powiedzenia. Przyłożył nagle palec do ust i powiedział:

- Cicho... Ktoś minął wartę i wjechał do kanionu...

Zamarli. Marissa wyteżyła słuch. Na tle odgłosów wydawanych przez konie dał się słyszeć warkot pracującego z mozołem silnika samochodu. Ktoś jechał szybko pod górę nierówną drogą. Musiał prowadzić bardzo ryzykownie.

Jefferson z niepokojem usłyszał zgrzyt metalu o skałę, -potem drugi.

- Marisso, schowaj się w stajni.

- Nie. - Nie chciała pozostawiać Jeffersona sam na sam z nieznanymi przybyszami czy przybyszem.

- Nic mi się nie stanie. - Rozpoznał widoczny przez moment pojazd. - Widziałem, czyj to samochód. To moja przyjaciółka. Bliska, zaufana. Ale nie powinniśmy ryzykować. Może nie być sama. Masz tylko minutę. Kiedy moja znajoma minie zakręt, zobaczy cię. Szybko.

Marissa pobiegła do stajni. Jefferson czekał na gościa przed wejściem do domu.

- Cześć, przystojniaku! - zawołała Cristal Lane, wysiadając z samochodu.

- Witaj, Cristal! Co sprowadza cię tu aż z Silverton?

- Mówisz takim tonem, jak gdyby dawno mnie tu nie było. - Lane przesunęła Jeffersonowi paznokciem po szyi. - Przecież byłam tu ostatnio... - Zastanowiła się - ..nie tak dawno temu! - Uśmiechała się do Cade'a, patrząc na niego zielonymi jak trawa oczami.

- Trzy miesiące temu - przypomniał. - Niepokoiliś się, bo długo nie pojawiałem się w mieście. Zamiast obchodzić swoje trzecie dwudzieste dziewiąte urodziny w saloonie, przejechałaś tą maszyną ziemię Benedicta, żeby świętować u mnie i sprawdzić, jak się miewam.

- Och, czy i tak mająca złą opinię właścicielka salonu nie może spędzić swoich urodzin z przyjacielem bez ukrytych zamiarów?

- Może. Ale nie powinna. W mieście są ciekawsze możliwości. Cristal wzruszyła ramionami.

- Może nie szukam żadnych możliwości. Wymień mi chociaż jedną ciekawą partię w Silverton.

Jefferson aż uniósł brwi ze zdumienia. Był w stanie wymienić z siedmiu interesujących mężczyzn odpowiednich dla Cristal. A zwłaszcza jednego, który nie wiedział jeszcze, co myśleć o tej damie o niewyjaśnionej reputacji, której serce było w rzeczywistości czyste, wielkie i czułe.

- Niepokoiliś się o mnie - powiedział.

- Owszem. Przejrzałeś mnie, przystojniaku. Billy mówił, że byłeś z wizytą w swoim domu. Ciekawa jestem, jak ci minęła.

- A jak miałyby minąć? Chyba że to Billy też ci już powiedział.

- Niczego mi nie powiedział. - Cristal oparła się o samochód. - Ten wielki Apacz marszczy tylko brwi na mój widok. Tak, jakbym

była kobietą upadłą, a zawzięty szeryf zastanawiałby się, jak pozbyć się mnie z miasta.

Jefferson zachichotał i zmierzwił jej rozczochrane, kasztanowe włosy jeszcze bardziej. Roześmiał się, objął przyjaciółkę ramieniem i ucałował w czubek głowy.

- Kiedy ostatnio widziałem Billy'ego, był tylko półkrwi Apaczem, ale za to w pełni szeryfem. Ani jedno, ani drugie chyba szybko się nie zmieni.

- Z charakteru jest stuprocentowym Apaczem - odparła Lane. - Nie cierpi mnie, odkąd przyjechałam do miasta. Uparty, przystojny Indianin. Toporny, męski... stwór.

Jefferson wybuchnął śmiechem.

- Kiedy zdecydujecie, kim będziesz, jak dorośniesz?

- Zdecydujemy?! Co tu decydować? Przecież się nienawidzimy. Mamy to w genach. Twardy szeryf i damulka z saloonu.

- Powtarzasz się. Chciałbym, żeby ktoś kiedyś nienawidził mnie tak, jak Billy nienawidzi ciebie, skoro tak to nazywasz.

- Co ty za głupoty wygadujesz!

- Skoro to głupoty, to w takim razie, kiedy się wreszcie zaprzyjaźnicie, zostaniecie wrogami, a może kochankami?

- To zupełnie nie wchodzi w grę. Nie przydam się naszemu Blackhawkowi na nic! Ani on mnie.

- Może za dużo oboje w tej sprawie protestujecie?

- Nie żartuj sobie!...

Jefferson stwierdził, że nie przekona Cristal. Zmienił więc temat:

- Zastanawiam się, co naprawdę cię tu sprowadziło.

- Mówiłam ci. Twoja wizyta w Belle Terre. Podszluchałam, jak Jasper i Billy gawędzili na poczcie o twojej podróży.

- Ach tak... - Jeśli Billy chciał rozgłosić swoją wersję w Silverton, stary listonosz Jasper był do tego odpowiednim człowiekiem. Trudno o większego plotkarza niż Jasper Hill. - Pewnie Jasper przestał się dziwić, dlaczego nie odbieram poczty.

- Niezupełnie. Dziwił się, dlaczego twój brat, Adams, pisze do ciebie tutaj, skoro jesteś u niego.

- Jeśli Jasper wróży ze stempli pocztowych, to ma za mało informacji.

- W każdym razie, postanowiłam zrobić sobie dzisiaj wolne i odwiedzić mojego ulubionego południowca z Karoliny. Przy okazji przywiozłam ci pocztę.

- I zobaczyłaś mnie całego i zdrowego. Ale nie odjeżdżasz. Chodzi ci jeszcze coś po głowie?

- Czekam, aż przedstawiś mi swojej przyjaciółce.

- Komu?

- Twojej przyjaciółce. Tej wysokiej brunetce, która pognała do stajni, kiedy nadjeżdżałam. Ciekawa jestem także, kim jest krzepki kowboj, który patroluje drogę na skraju kanionu. Znam wszystkich ludzi Sandy'ego. Prawie tak dobrze jak Sandy.

- Jechałaś tak szybko, że dziwię się, iż zauważyłaś cokolwiek poza pyłem. - Cristal była inteligentną kobietą. Jefferson nie wiedział, jak odpowiedzieć na jej pytania. Grał na zwłokę. - Co robił ten nowy kowboj? Dlaczego uważasz, że patrolował drogę do kanionu?

- Jeśli nie patrolował, to czemu mnie zatrzymał i zapytał, jaki mam interes w Broken Spur?

- Pokazałaś mu pocztę i powiedziałaś, że jedziesz ją dostarczyć.

- Tak, a co miałam zrobić? Przecież przyjechałam ją dostarczyć.

- Dzisiaj pierwszy raz w życiu. Ale wyjaśnienie było dobre, bo cię przepuścił.

- Hmm...

- Niech zgadnę! Ethan nie przepuścił cię.

- Ach, więc ma na imię Ethan. Widziałam go już parę razy w mieście. Zawsze wchodził albo wychodził z posterunku Billy'ego. Kowboje często tam bywają, rozwiązując jakieś problemy. Dopiero dzisiaj dowiedziałam się, że pracuje w Rafter B. Robi wrażenie groźnego i jest roztargniony. Pewnie, kiedy tu dotrze, będzie wściekły.

- Wdepnęłaś pedał gazu i obsypałaś go piachem... -Jefferson pokręcił głową na taki brak rozsądku. - Przecież mógł cię zastrzelić.

Cristal roześmiała się.

- Nikt nie strzela do miejscowej burdel-mamy, zwłaszcza kiedy zaproponowała podzielenie się ciasteczkami, które wiezie przyjacielowi.

Rozległ się odgłos silnika samochodu.

- O, zdaje się, że nadjeżdża Ethan. - Cristal uśmiechnęła się, w oczekiwaniu na sprzeczkę z przystojnym, groźnym mężczyzną, - Musiał mieć gdzieś schowany samochód. Na koniu tak szybko by tu nie przyjechał. Może skoczysz do stajni i przyprowadzisz swojego

gościa. Kiedy Ethan tu dotrze, możemy wszyscy napić się oranżady i zjeść ciasteczka. A wy z panią ze stajni wyjaśnicie, o co chodzi.

Jefferson rozpoznał nadjeżdżający terenowy samochód. Jego kierowca jechał niewiele ostrożniej niż Cristal. Roześmiał się ponuro.

- Wie pani co, pani Lane? Nie chcę pani psuć humoru, ale obawiam się, że to pani zaraz będzie się tłumaczyć.

- Z czego? Z tego, że odwiedziłam przyjaciela? Ze przywiozłam ciasteczka? Ethan na pewno to zrozumie. Najpóźniej wtedy, kiedy ugryzie pierwsze ciasteczko.

Cristal stanęła jak wryta, także rozpoznawszy pojazd.

- O rany! To chyba nie Ethan.

- Mnie też się tak zdaje. Taka gwiazda na drzwiach!

- No nie!... - Samochód zatrzymał się i wysiadł z niego ponury olbrzym o ciemnych włosach i miodowych oczach.

- Słusznie się denerwujesz, kochanie - powitał Cristal ironicznie Billy Blaekhawk. Skinął nieznacznie głową w stronę Jeffersona, wziął się pod boki i patrzył groźnie na Lane. - No, i co powiesz?

Szeryf Silverton słynął z wielkiej cierpliwości. Jako półkrwi Indianin i człowiek o naturze stoika, rzadko okazywał złość czy frustrację. Ten dzień był jednak wyjątkowy. Billy nie wyglądał w tej chwili na cierpliwego człowieka. Cristal uśmiechnęła się do niego szeroko, co wystarczało, żeby rzucić większość mężczyzn na kolana. Najwyraźniej jednak Billy nie należał do większości mężczyzn.

- No i co mam powiedzieć, Blaekhawk? - odparła wobec tego Cristal, także biorąc się pod boki.

- Co tu, do cholery, robisz?! - Billy nigdy nie przeklinał. Nigdy. Jefferson uniósł brwi ze zdziwienia.

- Przecież nie przeklinasz, Billy, więc przestań. Dżentelmeni nie przeklinają, mówiąc do kobiety. I tak mnie nie zastraszysz. - Lane zrobiła groźną minę.

- Nie liczę na to. A kiedy jestem taki zły jak w tej chwili, przeklinam. Także mówiąc do kobiety. - Blackhawk przesunął swoją szeroką dłoń po włosach Cristal i zatrzymał ją, ściskając je delikatnie w garści. Przechyliła łagodnie głowę. Billy patrzył jej w oczy. - Spytałem panią, co pani tu robi.

- Przed chwilą byliśmy na „ty”.

- To było przed chwilą. Już się trochę uspokoiłem.

- To ma być spokój?

- Przecież powiedziałem „trochę”. To znaczy, że na razie zdecydowałem, że nie skrećę ci karku.

- Skoro tak, czy mogę zaproponować, żebyśmy nie stali na słońcu? - odezwała się Marissa, która właśnie nadeszła. - Możemy wyjaśnić, co trzeba, w domu i tam podjąć dalsze decyzje.

Szeryf oderwał wzrok od Cristal i popatrzył na Marissę. Nagle zdjął kapelusz.

- Jeśli boisz się, Marisso, że dopuściliśmy do sytuacji zagrożenia, nie martw się o to - wyjaśnił. Pokazał na krawędź kanionu, gdzie widać było sylwetkę Ethana, siedzącego ze strzelbą gotową do strzału. Na jedynej prowadzącej do kanionu drodze znajdowało się jeszcze dwóch jeźdźców. Także mierzyli ze strzelb: - Na mój rozkaz każdy niezidentyfikowany intruz, który nie zatrzyma

się na wydane polecenie, ma zostać zastrzelony. Jeden z tych jeźdźców to kobieta, niegdyś strzelec wyborowy. Wciąż potrafi odstrzelić człowiekowi kolczyk z ucha, nie kalecząc go. Chyba że chce skaleczyć. - Z obecnych, tylko Cristal miała kolczyki. - Billy znowu dał się ponieść nerwom. - Masz cholerne szczęście, że Ethan widział cię w mieście i rozpoznał cię! - wypalił do Lane.

- I dlatego się denerwujesz, Blaekhawk? - Cristal patrzyła na szeryfa z ukosa. - Bałeś się, że mogę przypadkowo zginać?

- Właśnie - warknął Billy i podał jej ramię, po czym, niezbyt delikatnie, zaprowadził ją do domu. - Ale tylko dlatego, że wtedy nie mógłbym ci już skrócić karku.

- Coś takiego, Blaekhawk! Nie wiedziałam, że ci na mnie zależy.

- Niech pani sobie nie schlebia, pani Lane.

- Niech się pan nie martwi. Nie będę.

Jefferson i Marissa szli za nimi, trzymając się za ręce.

- Zdaje się, że się kochają - szepnął Cade.

- Mam nadzieję, że któregoś dnia to zrozumieją - odparła Marissa.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Nikt nie jadł ciasteczek.

Ciągle zdenerwowani, zebrani na ranczu ludzie zapomnieli o głodzie i pragnieniu. W domu przynajmniej było trochę chłodniej niż na dworze.

Dom był przebudowany ze starej, jednoizbowej chaty, bez wydzielonej kuchni czy sypialni. Cody dodał do budynku skrzydło z sypialnią oraz piętro. Główna izba służyła teraz tylko za salon i kuchnię. W tej chwili, w pełnej napięcia atmosferze, wydawała się ciasna.

Cristal usiadła przy kominku, szeryf stał koło niej jak słup. Marissa z Jeffersonem usiedli przy kuchennym stole. Cień ściany kanionu objął dom i szybko zaczęło się ściemniać, ale nikt nie pomyślał, żeby zapalić lampę. Marissa patrzyła na kobietę, do której Jefferson odnosił się dopiero co tak czule jak niemal do nikogo. Miło było słyszeć ich przyjazną wymianę zdań. Ale kiedy Cade objął rudowłosą piękność i pocałował ją w czubek głowy, Marissa poczuła zazdrość. Ofuknęła się zaraz, tłumacząc sobie, że przecież przez cztery lata Jefferson musiał zaprzyjaźnić się z jakimiś kobietami. Może nawet miał kochanki... Zaraz potem nadjechał szeryf i Marissa zobaczyła zajście pomiędzy Cristal a nim.

Nieokreślone napięcie pomiędzy tymi dwojgiem cały czas zdawało się niemal wisieć w powietrzu. Marissa pomyślała, że faktycznie, muszą się oni któregoś dnia pokochać - albo znienawidzić.

Cristal siedziała sztywno na kanapie, nie rozumiejąc dobrze, co się tu dzieje. Blakhawk był ponury. Dlatego, że to Cristal wmieszała się we wszystko i w związku z nią zaistniała cała sytuacja. Billy i Cristal niewątpliwie działali sobie wzajemnie na nerwy. Byli jak dwa magnesy - odpychali się, a kiedy indziej mogliby się przyciągać, odpowiednio ustawieni. Przyciągać bardziej niż teraz. Głębiej. Zakochać się w sobie nawzajem.

Marissa westchnęła i złożyła ręce. Jefferson oparł na nich swoją dłoń, tak naturalnie, jakby robił to od zawsze. Ich oczy spotkały się i Marissa poczuła ciepło jego spojrzenia. Niegdyś ich związek w Belle Terre zaczął się od wspólnych zainteresowań, potem przerodził w przyjaźń, wreszcie w miłość. Namiętną, ale tak łagodną, jak wybuchowa była miłość Cristal i Billy'ego.

Marissa wiedziała, że jeśli pozbedzie się dręczących wątpliwości i posłucha głosu serca, znowu dojdą z Jeffersonem do prawdziwej, głębokiej, namiętnej miłości. Pragnęła tego. Obróciła dłoń i ujęła Cade'a za palce. Popatrzyli sobie w oczy i uśmiechnęli się do siebie.

- Chyba nie ma na to rady - odezwał się Blakhawk. Spojrzała na niego. Wypowiedział prorocze słowa.

- Co się stało, to się nie odstanie - ciągnął szeryf.

Mówił zupełnie o czym innym, niż to, o czym myślała.

- Cristal odkryła, że Marissa tu jest. To niefortunne zdarzenie, ale trzeba sprawić, żeby nie miało złych skutków. Jeśli się zgadzacie, możemy wyjaśnić wszystko Cristal. Dzięki temu będzie w stanie zrozumieć, że musi zachować tajemnicę.

- Każda osoba, która pozna okoliczności, w jakich Marissa znalazła się w Broken Spur, stwarza dodatkowe niebezpieczeństwo, które może okazać się śmiertelne -stwierdził Jefferson. Będzie prościej, jeśli poprosimy Cristal, żeby nikomu nie mówiła, co zdarzyło się tu dzisiaj, i że kogoś widziała. Niech da nam słowo. Im mniej będzie wiedzieć, tym bezpieczniej dla nas wszystkich.

- Masz rację - zgodził się Billy. - Jeśli tylko Cristal się zgodzi i obieca, że będzie z nami współpracować.

Znowu mówił tonem zawodowca. Najwyraźniej jego emocje wybuchały tylko przy starciach z Cristal Lane. W obliczu niebezpieczeństwa potrafił zachować spokój. Marissie było okropnie przykro, że wprowadziła zamieszanie w życie tych wszystkich ludzi. Od dzisiaj także w życie Cristal.

- Tak nie może być - odezwała się Marissa. - Nie mogę tak dłużej. Zbyt wiele osób zginęło albo zostało zranionych z mojego powodu. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, co kontakt ze mną może oznaczać dla każdej napotkanej osoby. - Wyszarpnęła rękę z dłoni Jeffersona.

- Wylatuję stąd jutro pierwszym samolotem. Wówczas nikomu więcej nie stanie się krzywda.

Jefferson wiedział, jak to jest, kiedy człowiek czuje się odpowiedzialny za narażenie kogoś na poważne niebezpieczeństwo. Rozumiał Marissę i współczuł jej. Kochał ją. Była jedyną kobietą, którą kochał. Powstrzymał się przed dotknięciem jej i spytał:

- Dokąd miałabyś polecieć, Marisso? Co miałabyś robić? Na miłość boską, kochanie, pomyśl, jak mógłbym żyć, pozwoliwszy ci

znaleźć się w tak przerażającej sytuacji, w której znalazłabyś się nie tylko z własnej winy?

- Mógłbyś żyć, Jeffersonie, bo to nie ma z tobą nic wspólnego. Nie wiedziałbyś o niczym, gdybym nie...

- Gdybyś nie przywołała złożonej przeze mnie dawno temu w Południowej Karolinie obietnicy - dokończył za nią Cade. - Mylisz się, malutka.

- Nie wiedziałbyś, gdybym nie była taka słaba. - Marissa zachowywała się, jakby Billy'ego i Cristal nie było. Istniał tylko Jefferson; musiała wytłumaczyć mu, dlaczego powinna wyjechać. - Ty zawsze dotrzymujesz obietnic. Gdybym nie...

- „Gdybym”, „gdybym” - przerwał jej łagodnie Cade. - Świat i życie są pełne pytań. Zawsze można zastanawiać się, co by było, gdybyśmy postąpili inaczej z tym czy z owym. Gdybym nie złożył obietnicy. Gdybym cię nigdy nie kochał. Gdyby ojciec nie wysłał cię do Belle Terre. Gdyby nie oddał cię kiedyś pod opiekę Juanowi. Gdyby Juan nie nauczył cię jeździć konno. A przede wszystkim, gdyby twój ojciec nie obiecał cię Paulowi Reiowi. To najbardziej gnębiące pytanie. - Teraz Jefferson odważył się wyciągnąć ręce, rozprostować zaciśnięte palce Marissy, i spleść je ze swoimi. - Jaka część z wymienionych przeze mnie zdarzeń mogłaś kiedyś odmienić?

- Jedno, bardzo ważne. Mogłam nie wciągać cię w to wszystko.

Marissa rozejrzała się po pokoju. Kiedyś urządziła go inna kobieta, która musiała wybierać pomiędzy swoim ojcem a ukochanym mężczyzną. Savannah wybrała miłość, a nie posłuszeństwo córki. Wybrała mądrze. Marissa nie nauczyła się tej mądrości w porę.

Popatrzyła teraz na Blackhawka. Wiedziała, że nigdy nie będzie żałował, iż jej pomógł. Za to ona żałowała, że stworzyła taką potrzebę.

- Gdybym nie zwróciła się do ciebie o pomoc, Jeffersonie, nie zamieszałabym ci tak w życiu - ciągnęła. - Cristal nie znalazłaby się w niebezpieczeństwie. Billy nie martwiłby się o mnie, o ciebie, o Cristal. Jeżeli wyjadę, nie trzeba będzie mówić Cristal nic więcej. Może sobie wrócić do Silverton i żyć tak samo, jak do tej pory. Będzie bezpieczna, tak samo jak wy wszyscy.

- Ale dokąd ty polecisz, malutka? - odezwał się wreszcie Billy. - Jak schowasz się przed człowiekiem, który ma wszędzie informatorów?

- Wszędzie? -

- Ma mnóstwo pieniędzy i za ich pomocą dostaje, czego chce. A chce jeszcze więcej wszystkiego. Bierze, co chce. A jeśli nie może czegoś mieć - niszczy to.

Marissie przypomniało się zachowanie Menendezza, początkowo zachowującego pozory przyzwoitości, a wreszcie jego ostateczna propozycja. Było to wprost odrażające ultimatum. Menendez był potworem.

- Nie zdołał kupić Paula, jego majątku ani żony, więc go zniszczył - zgodziła się Marissa. - I sądzi, że wraz z nim zabił zabaweczkę, którą chciał mieć. I to jego przeświadczenie stanowi o moim bezpieczeństwie. Wcale nie będzie mnie szukał tak długo, jak długo będzie przekonany, że nie żyję.

- A jeśli odnajdą samolot? - spytał Billy.

- Nie odnajdą. Wpadł do morza.

- Tak podejrzewano. Ale to nie wyklucza, że pewnego dnia ktoś go nagle znajdzie.

- Wtedy będę musiała sobie jakoś poradzić.

- Niezależnie od tego, gdzie będziesz? - spytał Jefferson.

Wiedział, że jej nie powstrzyma, jeśli Marissa uprze się, żeby wyjechać. Ale nie wyjedzie sama.

- Jestem pewna, że Simon zasugeruje jakieś sensowne, w miarę bezpieczne miejsce. Jeśli nie - znajdę je sobie sama.

- I jak ty będziesz żyć? Jak zachowasz zdrowie fizyczne i psychiczne? Z czego będziesz się utrzymywać? Wiem, że masz majątek, ale jeśli spróbujesz podjąć z konta choćby dolara, Menendez zorientuje się, że żyjesz.

- Znajdzie cię - dorzucił Billy. - Jeśli tylko dowie się, że kobieta, która go odrzuciła i stanowi największe zagrożenie dla jego wielkich planów, żyje, zacznie cię poszukiwać. I nie przestanie, dopóki nie będziesz mu posłuszna albo któreś z was nie zginie.

- Wiem, o co wam chodzi - odezwała się znowu Marissa, powstrzymując łzy. - Naprawdę, cieszę się, że troszczysz się o mnie, Billy. Ale to niczego nie zmienia. Muszę wyjechać. - Patrzyła na Cristal i na Billy'ego. Na Jeffersona, swoją jedyną miłość. Musiała zrobić wszystko, żeby był bezpieczny. - Skoro już wyjadę, sama będę musiała ponieść konsekwencje tego kroku.

- Chcesz zaryzykować życie i wolność dla dobra ludzi, na których ci zależy - powiedział Billy.

- A ty nie zrobiłbyś tego? To chyba jedyne uczciwe rozwiązanie?

- Kiedy już każdy powie, co jest najlepsze dla wszystkich, w tym dla mnie, czy ja także będę mogła się wypowiedzieć? - odezwała się wreszcie Cristal pogodnym tonem.

- Cicho bądź - rzucił Blackhawk.

- Nie będę cicho. Już za długo milczę. Przecież to ja spowodowałam całe zamieszanie. - Podniosła wzrok na ścianę, gdzie wcześniej wisiał portret młodziutkiej, pięknej kobiety. Nagle zorientowała się, że przedstawiał młodszą Marissę Rei, wówczas Alexandre. Cristal od początku podejrzewała, że sportretowana kobieta to utracona ukochana Jeffersona. Teraz portret zniknął, za to pojawiła się rzeczywista Marissa. Jefferson, wspaniały, silny, delikatny mężczyzna, który, jak się zdawało, kochał tylko raz, z pewnością zasługiwał na drugą próbę związania się z Marissą. - Nasz wspaniały szeryf po raz pierwszy w życiu ma na mój temat rację - kontynuowała Lane. - To ja spowodowałam wszystko. Chciałam tylko odwiedzić przyjaciela, i naprawdę nie spodziewałam się żadnych tajnych ani kryminalnych spraw. Nie zamierzałam sprawiać nikomu kłopotów. Nie wiem dokładnie, o co chodzi, ale i tak zależy mi na was wszystkich. - Popatrzyła przeciągle na Billy'ego. - Rozumiem, że Jefferson i Marissa znają się od dawna; być może kiedyś ze sobą byli. Domyślałam się, że przez lata byliście rozdzieleni, choć nie wiem, jak to się stało. I zrozumiałam, że Marissa straciła męża i rodziców. Współczuję ci bardzo... Rozumiem, że Marissa ma poważne kłopoty, Jefferson ratował ją, z pomocą Billy'ego. Kłopoty sprawia jakiś

bogaty i groźny mafioso czy ktoś w tym rodzaju, nazwiskiem Menendez. Więcej nic nie wiem. Poza tym jeszcze, że obaj nie doceniacie Marissy, chłopcy. Zachowujecie się, jakby była słabą kobietą. Rozumiem, że jest w żałobie, i, jak się zdaje, ma nieuzasadnione poczucie winy. Nie dziwię się temu, zresztą. Ale od razu widać, że jest silna. A ty, Marisso, nie doceniasz nas. Billy'ego. Mnie. Zwłaszcza Jeffersona: Może i sprowadziłaś na nas wszystkich niebezpieczeństwo, ale ci dwaj mężczyźni i ja poradzimy sobie z nim. Być może żadne z nas nie przeszło tyle, co ty. Ale każde z nas coś albo kogoś straciło, miało bardziej lub mniej poważne kłopoty. Przeszło swoją próbę. I przeżyło. Stało się po niej mocniejszym człowiekiem. Ty też będziesz mocniejsza niż przedtem, Marisso. Znam cię, bo znam Jeffersona i wiem, jaka kobieta może go interesować. Połowa samotnych kobiet w Silverton ma ochotę związać się z Jeffersonem - i część mniej samotnych. A on przez cztery lata żył w pojedynkę i nie dał się skusić żadnej. Nie zrobiłby tego tylko dla seksu czy męskiej dumy. Nie chciał. Czekał na ciebie cztery lata. I jeśli sądzisz, że pozwoli ukochanej kobiecie opuścić go po raz drugi, z jakiegokolwiek innego powodu poza tym, że go nie kocha, to sama nie znasz swojego mężczyzny. Tu, w kanionie, jesteście bezpieczni. Macie tych troje jeźdźców i Billy'ego. Jeśli wyjedziesz z Bröken Spur, Marisso, Jefferson wyjedzie z tobą. Mogę ci przysiąc, że pójdzie za tobą nie tylko na koniec świata, ale i w paszczę lwa, jeśli narazisz się na jakiegokolwiek niebezpieczeństwo.

Marissa była oszołomiona. Trudno jej było myśleć.

- Nie chcę sprowadzić na nikogo nieszczęścia ani być kłopotem - powiedziała.

- Od likwidowania niebezpieczeństw i zapobiegania nieszczęściom jest Billy, a i Jefferson nie będzie zasypiał gruszek w popiele, gdyby coś zaczęło się dziać. Jeśli boisz się, że jesteś dla Billy'ego kłopotem, to się mylisz. Potrafi panować nad znacznie trudniejszymi sytuacjami. Zresztą, gdyby miał pełne ręce roboty, nie miałby przynajmniej czasu, żeby działać mi na nerwy. - Billy mruknął coś pod nosem. - Ja jestem znacznie silniejsza, niż na to wyglądam. Nic mi nie będzie. Blackhawk czasami ma ochotę skrócić mi kark, ale zabije każdego innego, kto próbowałby to zrobić. Oto moje trzy grosze. Nie mogę podjąć za ciebie decyzji ani zmusić cię do pozostania. Ale mam nadzieję, że dałam ci materiał do przemyśleń. Pamiętaj, że nie tylko ty poniosłaś wielką stratę - Jefferson także, w dniu, kiedy stracił cię. A teraz odnaleźliście się znowu i nie traćcie czasu na płacz nad smutną przeszłością. Mam nadzieję, że zostaniesz. Dla Jeffersona. I dla mnie.

- Dla ciebie?

Cristal roześmiała się serdecznie.

- Potrzebuję przyjaciółki. Każdy by potrzebował, żeby lepiej radzić sobie z tymi dwoma facetami. No, dobrze. Powiedziałam swoje i jadę do domu. Muszę zdążyć, żeby zamknąć saloon. - Po tych słowach Lane uścisnęła Marissę, ucałowała Jeffersona, machnęła niegrzecznie ręką w stronę Blackhawka i poszła. Po krótkiej chwili rozległ się odgłos silnika jej samochodu.

- Co to za kobieta? - odezwała się Marissa. - Jakim cudem jest aż taka mądra?...

- Nikt nie wie zbyt wiele o Cristal - pospieszył z odpowiedzią Billy. - Pewnego dnia przyjechała do Silverton. Spodobało jej się tu. Potrafi słuchać, sama rzadko mówi tak dużo. Znam ją od pięciu lat, a jeszcze nie słyszałem, żeby powiedziała na raz tyle, co przed chwilą. Nikt z nas nie zna jej przeszłości, tego, co robiła przed osiedleniem się w Silverton.

- Nie sprawdziłeś tego nigdy? - spytał Jefferson, chociaż znał Cristal na tyle dobrze, żeby nie obawiać się tego, kim kiedyś była.

- Mogłem. - Szeryf wzruszył ramionami. - Ale nie chcę wdzierać się w jej prywatność bez uzasadnionego powodu. Poza tym, że drzemy ze sobą koty, nic złego nie zrobiła. Wybaczcie. Mam robotę, a wy - decyzję do podjęcia. Mam z tobą jeszcze parę spraw do omówienia, Jeffersonie; gdybyś zechciał odprowadzić mnie do samochodu.

Słońce zaszło i zapadł zmrok. Wszedł księżyc. Znad pastwiska rozległ się krzyk nocnego ptaka. Na stole stała kolacja, na którą nikt nie miał ochoty. Marissa siedziała na schodkach werandy z Szatanem przy boku. Wielki doberman potrafił chyba wyczuć, kiedy jest potrzebny Marissie, a kiedy nie. Dzisiaj leżał tuż przy niej, śpiąc z głową ułożoną na jej udzie. Marissa rozmyślała o tym, co powiedziała Cristal.

- „... to sama nie znasz swojego mężczyzny” - powtórzyła na głos.

- Ona ma rację, wiesz? - odezwał się Jefferson, stojąc przed nią.

Po uprzątnięciu kolacji, Marissa poszła wymoczyć się w wannie, aby ulżyć swoim troskom, a Jefferson udał się do stajni, żeby sprawdzić, jak się czują ciężarne klacze, które wkrótce miały się żrebić. Jedna z nich żrebiła się po raz pierwszy i była bardzo niespokojna.

- Nie słyszałam, jak szedłeś - powiedziała Marissa, patrząc na Jeffersona. Miał mokre włosy, rozpiętą koszulę i pas. Kapał się w strumieniu. Wyobraziła sobie, jak musiał wyglądać nagi, stojący w wodzie, która odbijała srebrzyste światło księżyca. Znowu poczuła przypływ pożądania.

- Ściąłeś włosy - powiedziała nagle. Jefferson uśmiechnął się.

- Dawno temu. Ty też.

- Łatwiej dba się o krótsze.

- Tak.

Patrzyli sobie w oczy.

- Czy to prawda? - spytała Marissa. Jefferson wiedział, o co chodzi.

- Prawda - odparł.

- Czekałeś na mnie przez te wszystkie lata?

- Nie zdawałem sobie z tego sprawy, dopóki nie otrzymałem twojej przesyłki. Ale tak, czekałem.

- I nie pozwolisz mi drugi raz cię opuścić?

- Nie, chyba że będzie to bezpieczne albo że mnie nie kochasz.

A ja kocham cię, Marisso. Kocham cię dłużej, niż myślisz.

Zabrzmiało to zwyczajnie, i przez to jeszcze piękniej. Marissa znów miała łzy w oczach, ale tym razem nie starała się ich powstrzymać.

- Cztery lata to okropnie długi czas, żeby tak czekać - powiedziała.

- Czekałbym jeszcze dłużej. Do końca życia, gdybym musiał.

- Jeśli poproszę cię, żebyś tu pozostał, czy pozostaniesz?

- Jeśli ty wyjedziesz, to ja też wyjadę.

- Nawet, jeśli cię nie kocham?

- Nawet wtedy... - przyznał cicho Cade. - Ale kochasz mnie, Marisso. Widziałem to już w, Argentynie. Widziałem to nad jeziorem, w dolinie, gdzie stoi dom Simona. I widziałem tutaj. Ciągle o mnie myślisz i kochasz mnie. Tak samo jak ja kocham cię i wciąż myślę o tobie.

Łzy popłynęły wreszcie po twarzy Marissy.

- A jeśli zostanę? - szepnęła. - Co będzie wtedy?

- A czego byś chciała, kochanie? Powiedz mi, a zrobię, co tylko będę mógł, żeby tak było. Uczynię wszystko, żeby cię uszczęśliwić.

Marissa roześmiała się nieznacznie.

- Uszczęśliwiasz mnie przez samo to, że jesteś Jeffersonem.

Cade wszedł po schodkach i usiadł koło niej. Wziął ją w ramiona i musnął ustami jej czoło, najdelikatniej jak mógł. Trzymał ją tak, aby nie wykraczać poza to, na co była w tej chwili gotowa. Patrzyli razem w mrok.

Nie wiedzieli, jak długo tak siedzą. W końcu Marissa rozluźniła się i wtuliła w niego. Westchnęła tęsknie i wypowiedziała półszepem

jego imię. Wtedy Jefferson wstał, wyciągnął rękę i powtórzył słowa, które wypowiedział kiedyś, dawno temu:

- Weź mnie za rękę, kochanie. Jeśli tego naprawdę chcesz. Jeśli naprawdę pragniesz mnie.

Drżące palce Marissy spotkały się z silną dłonią Cade'a. Jefferson przytulił czule kobietę, na którą czekał całe życie.

RS

ROZDZIAŁ ÓSMY

Marissa i Jefferson szli przez dom ze splecionymi dłońmi. Ona miała na sobie długą, luźną suknię z tysiącem małych fałdek. Był to prezent od Raven. Ulubione ubranie Marissy na wieczory, które spędzała w swojej sypialni po długiej kąpieli. Marissa zatrzymała się i obróciła ku Jeffersonowi. Chwyił ją za wolną rękę i przyciągnął jej dłonie do swoich ust. Zaczął całować ją delikatnie w palce i spytał:

- Czy mówiłem ci już, jaka piękna jesteś dzisiaj wieczorem?

- A jestem?

- Tak. Jesteś piękna co najmniej od dnia, kiedy pierwszy raz cię zobaczyłem. - Pootwierał pomalutku jej palce i ułożył sobie na szyi. Przyciągnął lekko Marissę do siebie i uśmiechnął się. - Przyszliśmy razem z braćmi, Lincolnem i Jacksonem, do restauracji Eden. Byłaś tam, wchodziłaś właśnie z ogrodu. Twoje długie, rozpuszczone włosy falowały na wietrze. Weszłaś trzymając przed sobą koszyk pełen kwiatów. Kwiaty były przepiękne, a ty spojrzałaś sponad nich i wyglądałaś tak wspaniale, jak gdybyś była księżniczką z bajki czy jakimś zaczarowanym stworzeniem. Nigdy w życiu nie widziałem kogoś tak pięknego jak ty. I nie czułem do nikogo tego, co poczułem do ciebie.

- Nie wiedziałam. Wtedy zupełnie tego nie rozumiałam.

- Nic dziwnego. Byłem o osiem lat starszy od ciebie, ty dopiero wchodziłaś w, życie. Myślałem, że potoczy się inaczej. - Nagle, powoli, Jefferson zaczął poruszać się w rytm walca. - Czy ty zdajesz

sobie sprawę, że przez te wszystkie lata ani razu nie tańczyliśmy? - spytał. - Nigdy cię nie obejmowałem, aż do ostatniego dnia, kiedy było już za późno.

- Teraz nie jest za późno - odpowiedziała cichutko Marissa, opierając głowę na jego ramieniu. Poddawała się bezgłośnie muzyce, która kierowała jego krokami. Tańczyli lekko, zgrani ze sobą, zupełnie jakby robili to od zawsze. Przyświecał im księżyc.

Po pewnym czasie Jefferson zwolnił i przesunął ustami po skroni Marissy, potem po jej uchu.

- Czego byś chciała, kochanie? - zapytał cicho. Podniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

- Chciałabym ciebie, Jeffersonie. Na zawsze.

- Tak! - zgodził się z zadowoleniem Cade. To krótkie słowo powiedziało wszystko, co trzeba. Podniósł Marissę z ziemi i zaniósł do swojej sypialni. Przy jego łóżku paliła się lampka. Postawił Marissę w kręgu światła tej lampki.

Przysunęła się do niego, a on jęknął, nachylił się i zaczął ją całować, spragniony. Całował ją śmiało, a zarazem delikatnie, chłonał ją i dawał sobie jednocześnie.

Objął ją w pasie i przycisnął do siebie. Palce Marissy przesunęły się w górę jego szyi, do wilgotnych włosów; objęła go za tył głowy i trzymała, aby całował ją jak najdłużej. Napierali na siebie, chcąc jak najbardziej się zbliżyć. Marissa czuła, że ciało Jeffersona jest dla niej oparciem, wyspą, na której znajduje ratunek pośród burzy, i rajskim ogrodem.

Jefferson dopełniał ją, razem stanowili całość.

Zacisnęła dłonie i odciągnęła jego głowę od swojej, mimo że pragnęła go całować i całować; musiała jednak powiedzieć mu to, co najważniejsze.

- Jeffersonie... - Patrzył na nią pytająco. - Przepraszam cię - szepnęła drżącym głosem.

Była tak blisko niego. Wystarczy, żeby usłyszał od niej dwa słowa, a dalszy bieg jego życia będzie ustalony. Trzymał ją mocno, a zarazem łagodnie.

- Co, kochanie? - spytał.

- Przepraszam cię za te lata. Za krzywdę, którą ci wyrządziłam. Za tyle rzeczy!... - Marissa spuściła głowę, znów wspierając ją na jego ramieniu. Złapała oddech; jej piersi dotykały torsu Jeffersona. Zadrżała. Podniosła z powrotem wzrok. - Przepraszam cię za to, że nie byłam tak mądra i silna jak Savannah Cody ani tak przewidująca jak Cristal.

- A co jest teraz? - ponaglił Jefferson, przesuwając powoli dłońmi po jej żebrach, plecach, ramionach. Tam spoczęły na chwilę. Potem ruszyły dalej i rozpostarte palce Cade'a dotykały karku Marissy, jej włosów, szyi, policzka, warg. Usta były jeszcze wilgotne od jego pocałunku. - Czy żałujesz tego, co dzieje się teraz?

Zajrzała w jego twarz i zobaczyła w niej miłość. I siłę.

- Żałuję tylko straconych dni, godzin, minut - odparła.

- Sekund - dokończył i pocałował ją znowu, raz, i drugi. Tak, aby zapomniała o smutku i żałobie. - Dzisiejszego wieczora czas się nie liczy. Jutro zaczyna się nowy dzień, nowy początek, nowe życie.

- Wspólne - szepnęła i odsunęła się od niego. Jefferson ledwie zdążył zobaczyć, że jej falujące nierównym rytmem piersi odznaczają się na sukience, kiedy skrzyżowała miękkim ruchem ręce i zaczęła ją ściągać, odsłaniając centymetr po centymetrze swoje wspaniałe ciało.

Kiedy już była całkiem naga, a sukienka legła u jej stóp, znieruchomiła na chwilę. Marissa. Oszłamiająco piękna Marissa. Kobieta, która wiedziała, czego chce, i nareszcie nie czuła z tego powodu winy.

Jefferson zadrżał znowu, oddychając szybko. Nie odrywając oczu od jej ciała, ściągnął koszulę, zrzucił buty, pozbył się reszty ubrania.

Był bardzo podekscytowany i czuł, że musi zanurzyć się w jej ciele. Najpierw chciał jednak nasycić nią swój wzroki palce. Przesunął dłonią po jej brwi, policzku, szyi, jak niewidomy, który patrzy palcami. Dotykał jej, opuszczał dłonie niżej, odkrył, że krągłość jej piersi idealnie pasuje do wypukłości jego dłoni. Nachylił się i zaczął pieścić jej piersi ustami. Napięła ciało i wydała z siebie jęk rozkoszy.

Marissa była tak piękna, jak w jego wspomnieniach. Smukła, miała szlachetny, elegancki typ urody. Kusząca, tajemnicza; Jefferson miał ochotę ciągle odkrywać i odkrywać jej tajemnice. Była skarbem, który chciał chronić, zachować na zawsze. Zawsze.

Teraz ona wyciągnęła ręce i zaczęła go pieścić. Nie omijała żadnego miejsca na jego ciele. Jefferson czuł, że nie wytrzyma już dłużej.

- Przestań! - zawołał, po czym uniósł ją znowu i położył na łóżku. Zanim jednak złączą się w jedno, musiała zrozumieć, że Cade nie chce jej tylko na jedną noc. Ani nawet na dziesięć.

- Marzyłem o tej chwili - szepnął. - Pragnę cię tak jak nikogo i niczego w życiu. Ale musisz mi powiedzieć ważną rzecz. Chcę cię, ale tylko na zawsze. Powiedz mi, powiedz, czego chcesz. Muszę usłyszeć te słowa!

- Na zawsze to i tak za krótko! Jeśli obiecasz mi kochać mnie tak, jak ja kocham cię, każdego dnia, zawsze, to chętnie będę z tobą do końca życia!

- Ja też!

Złączyli się w jedno. Kochali się i wraz z cielesnym uniesieniem wzmagało się w nich głębokie uczucie prawdziwej miłości. Miłości, która wypierała zadawnione bóle, zastępowała je. Przywracała zdrowie obojgu kochankom.

Kochali się długo, przez pół nocy. Szeptali do siebie, pieścili się dłońmi, ustami. Całowali. Złączali swoje rozgrzane ciała, pragnąc wnikać w siebie jak najgłębiej, przeniknąć siebie nawzajem, stać się jednym.

Zmęczeni się tuż przed świtem. Leżeli już nieruchomo, zbyt wyczerpani fizycznie, żeby robić cokolwiek, poza szeptaniem sobie nawzajem ostatnich przed zaśnięciem słów „kocham cię”. Zapadli w sen, złączeni w miłosnym uścisku.

Kiedy się rozwidniło, Marissa wstała, podniosła zmiętą sukienkę i wyszła na werandę. Owionęło ją chłodne, świeże powietrze. Włożyła sukienkę, usiadła na schodkach i patrzyła, jak kanion budzi się do

życia. Na horyzoncie widać było światło. Nadawało ono niebu i ścianom kanionu przepyszne kolory.

Nie wiedziała, jak długo tak siedzi, kiedy usłyszała kroki Jeffersona. Usiadł koło niej.

- Dzień dobry, kochanie! - powiedział. - Tęskniłem za tobą, kiedy się obudziłem. Pomyślałem, że może schowałaś się przede mną. Uśmiechnęła się.

- Nie schowałam się. Nie uciekłam. Jestem. Podziwiam poranek. Przesunął palcami po jej twarzy, włosach, pocałował w czoło.

- Czy jesteś zbyt zmęczona, żebyśmy później przejechali się na Gitano i Black Jacku? Mam dla ciebie niespodziankę.

- Niespodziankę?

- Nie powiem ci jaką, bo inaczej to nie będzie niespodzianka. Ale najpierw może popływamy sobie w strumieniu i wykapiemy się?

- Popływamy? - Z tego, co wiedziała Marissa, w najgłębszych miejscach strumień sięgał człowiekowi najwyżej do pasa.

- Za pastwiskiem jest mały wodospad. Steve zrobił tam niewielką tamę i zainstalował generator. Przed tamą powstało jeziorko. Specjalnie ukształtował teren i zieleń, żeby było tam pięknie. Zrobił to w prezencie dla Savannah.

Marissa nie miała pojęcia o istnieniu jeziorka.

- Czy to daleko? Pójdziemy tam, czy pojedziemy konno?

- Pojedziemy samochodem.

Ruszyli do półciężarówki. Marissa nie miała pod sukienką nic. Jefferson wyglądał raczej oryginalnie tylko w dżinsach i kowbojskim stetsonie. Niewątpliwie bardzo seksownie.

- No, to jedziemy.

Jazda była bardzo przyjemna - Marissa nie widziała jeszcze z bliska tej części kanionu. Kiedy podjeżdżali do wodospadu, zorientowała się, że widywała go codziennie, ale z dużej odległości; myślała, że to załom skały. Zatrzymali się koło jeziora.

- Piękne, prawda? - spytał po chwili Cade.

- Rozkoszne!

- Woda jest w tych okolicach skarbem cenniejszym od złota - ciągnął Jefferson. - To dlatego Jake Benedict od zawsze chciał posiadać ten kanion; i pewnie ciągle by chciał, mimo że należy on teraz do jego córki i jej męża.

- Jak to się właściwie stało, że mistrz z rodeo stał się właścicielem kanionu i rancza? - spytała Marissa.

- Dostał je w prezencie. Steve uratował życie przyjacielowi, ryzykując przy tym swoje. Przyjaciel, który także występował w rodeo, był właścicielem kanionu Sunrise. Od lat zmagał się ze starym Jake'em i uznał, że ma w życiu ciekawsze rzeczy do roboty. - Słowa „starym Jake'em” Cade wypowiedział z sympatią i szacunkiem.

- Lubisz Jake'a Benedicta, prawda? - chciała się dowiedzieć Marissa.

- Tak. Potrafi być prawdziwym sukinsynem. Ale uczciwie walczy o to, co chce mieć. Tak samo uczciwie walczyła Savannah.

- Savannah chciała wyjść za Steve'a? Jefferson roześmiał się.

- Tak, ale to długa historia. - Ruszyli w stronę jeziora. -

Powietrze jest ciepłe, ale woda będzie zimna. Słońce nie zdążyło jej tu ogrzać. Jesteś gotowa do zanurzenia się w niej?

Woda faktycznie była zimna, ale przyjemna i orzeźwiająca. Kąpiel była dla Marissy i Jeffersona odpoczynkiem. Usiedli później na rozłożonym na trawie ręczniku. Miejsce było wprost prześliczne. Marissa odnajdywała w nim tak potrzebny jej spokój. Powstało dzięki miłości dwojga ludzi i świetnie nadawało się do miłości.

- Tu jest się zupełnie oddzielonym od świata - odezwał się Jefferson. - Można robić, co tylko się chce.

- Na przykład to? - Z tymi słowami Marissa nachyliła się i zaczęła całować go w ciepłe ramię.

- Albo to - odpowiedział, chwycił ją i także zaczął całować.

Po chwili wzajemnie obsypywali się pieścizotami. Wkrótce kochali się po raz kolejny.

Odпочyając, Jefferson obejmował Marissę i pomyślał, że odnalazł spokój ducha, którego już nigdy nie spodziewał się zaznać. To dzięki niej. Być może ich miłość sprawi, że on, Jefferson odzyska wszystko, co kiedyś stracił. Przytulił Marissę mocno do siebie. Niebawem ich ciała rozluźniły się we śnie. Drzemali w rozgrzanym przedpołudniowym powietrzu.

- Obudź się, śpiąca królewno!

- Jefferson! - Uśmiechali się do siebie - Dzień dobry!

- Początek dnia był dobry, prawda?

- Był! Która godzina?

- Już prawie południe.

- Oj, w takim razie konie nam zgłodniały.

- Nie, zajął się nimi Sandy Gannon. Prosiłem go o to wczoraj wieczorem. - Nie było człowieka, któremu Jefferson ufałby bardziej niż rządcy Raf ter B.

Marissie przypomniało się, że w domu i w stajni, i w siodłami, znajdują się telefony. Były niemal nie używane. Roześmiała się nagle.

- Zaplanowałeś to, a ja myślałam, że wszystko odbyło się spontanicznie.

- Miałem tylko nadzieję, że będzie to, co było. - Jefferson znów zaczął delikatnie całować Marissę. Uśmiechała się.

Przez chwilę zobaczył jednak w jej twarzy inny wyraz, który szybko opanowała. Przeraził się, że znów pomyślała o żalobie albo że czuje się winna, że go kocha i żałuje tego, co robili.

- Co się stało, kochanie? - spytał.

- Nic. - Marissa popatrzyła na niego. Widziała, że musi go przekonać, że już zaakceptowała przeszłość, jako coś, co minęło. Smutek z powodu śmierci jej rodziców i Paulo nie był już zmieszany z poczuciem winy. - Naprawdę nic - powtórzyła. - Może tylko zrobiło mi się odrobinę smutno z tego powodu, że tak długo trwało, zanim dostąpiliśmy tego, co teraz.

- Za to odtąd już zawsze będziemy razem - pocieszył ją Jefferson. - I będzie nam coraz lepiej, jeszcze lepiej. Kiedy tylko... - Urwał, nie chcąc przypominać o grożącym im niebezpieczeństwie ze strony Menendeza. - Jeśli masz siłę na kolejną przejażdżkę, czeka cię jeszcze jedna niespodzianka, o jakiej ci mówiłem. Tym razem pojechalibyśmy konno. Żrebaki przeżyją jeden dzień bez szkolenia, a Sandy i wartownicy zadbają o resztę.

- Wyjedziemy z kanionu?

- Tak. - Cade uśmiechnął się. - Jest coś, co chcę ci pokazać.

- Jeszcze jedno jezioro? - dopytywała się.

Jefferson wstał i owinął się ręcznikiem. Podał Marissie dłoń.

- Nie, nie jezioro. Ale coś, co chyba spodoba ci się jeszcze bardziej.

W linii prostej droga byłaby znacznie krótsza. Istniała zresztą krótsza, ale bardziej męcząca trasa. Jefferson wybrał jednak dłuższą i łatwą. Pokazywał Marissie po drodze ciekawe formacje skalne, zwierzęta, rośliny. Zwłaszcza kaktusy. W Arizonie jest ich pełno, a w Argentynie są rzadkością. W końcu zatrzymali się na grzbiecie niskiego pasma wzgórz. Cade uśmiechnął się i wyciągnął rękę przed siebie.

- Oto i niespodzianka.

W dole, w niewielkiej odległości, na dnie małej kotlinki, stała stara chata. Widać było dwie zagrody i zniszczoną stajnię. Przez kotlinkę przepływał strumyk. Nie było widać zwierząt ani ludzi, jednak w chacie ktoś był i gotował obiad. Z komina unosił się dym.

- To na pewno najnowszy nabytek Jake'a Benedicta - powiedziała Marissa, patrząc błyszczącymi oczami. - W chacie są Juan, Marta i Alejandro. Przyjechali!

- Tak. Dwa dni temu. Akurat zdążyli się rozpakować i zamieszkać. - Jefferson był rozradowany, widząc Marisę tak uszczęśliwioną po raz drugi tego samego dnia. - Może zjedziemy na dół i przywitamy ich w Arizonie?

- Oczywiście! Ale najpierw chcę ci podziękować. - Wyciągnęła rękę, przyciągnęła go do siebie i zaczęła całować mokrymi, miękkimi, słodkimi ustami. Jefferson mógłby upajać się nią do końca świata. Sama miała analogiczne wrażenie; Uśmiechnął się i dotknął jej ust, obiecując jej w ten sposób następne pocałunki.

- To co, zjeżdżamy w dół, malutka?

- Wygląda na szczęśliwą. - Juan odetchnął z ulgą, choć nie uśmiechał się.

- Jest szczęśliwa. - Jefferson patrzył na Marissę. Siedziała na schodkach werandy, trzymając na kolanach Alejandra. Chłopczyk mówił do niej, gestykulował; Jefferson jeszcze nie widział go tak ożywionego. Od chwili, kiedy tylko przyjechali, Alejandro i Marissa nie odstępowali sobie na krok. Nie było słychać, o czym mówią, ale ich śmiechy dolatywały do zagrody, gdzie stali Jefferson i Juan. Widać było, że Marissa i dziecko są sobie od dawna bliscy; powrócili właśnie do dawnych zabaw. Marta cieszyła się niezmiernie ze swojego nowego gospodarstwa. Nigdy przedtem nie liczyła nawet, że będzie kiedyś miała własny dom.

Jefferson wciąż obserwował Marissę i Alejandra. Chłopiec miał ciemne włosy i oczy, podobnie jak ona. Mogłaby być jego matką. W końcu Cade spojrzał na Juana i powiedział:

- Marissa martwiła się o was. Tak bardzo się cieszy, że jesteście cali i zdrowi, i że przyjechaliście tu, w pobliże naszego domu.

Najbardziej niepokoiła się o Alejandra.

- Rzeczywiście, wiążą ich bardzo silne uczucia - przyznał Juan. - Kiedy się rodził, nie było lekarza, tylko Rissa. Nie był odpowiednio

ułożony w brzuchu Marty. Zdołała go obrócić. Była to dla niej bardzo ciężka praca. Udało się, ponieważ miała praktykę przy porodach koni. Do tej pory uważam, że to cud. - Gauczo ścisnął mocno zniszczoną deskę ogrodzenia. - Gdyby nie Rissa, umarliby oboje, Alejandro i Marta.

Jefferson pokiwał głową. Pamiętał, z jaką wprawą Marissa pomagała rodzącym klaczom w Południowej Karolinie. Jeśli wszystko dobrze się ułoży, wkrótce będzie robiła to samo w kanionie Sunrise. A jeżeli Marissa i on będą się kochać i bezpiecznie żyć dalej, pewnego dnia będą mieli własne dzieci. Do tej pory nie pozwalał sobie na tak daleko idące marzenia. Ale teraz, stojąc w palącym słońcu, słysząc śmiech Marissy, widząc, jak z miłością na twarzy trzyma na kolanach dziecko, zamarzył o prawdziwej, pełnej rodzimej, jaką chciał stworzyć.

Był pewien, że chce spędzić życie z Marissa, mieć z nią dzieci, pozostać razem na zawsze.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Jesteś zmęczona? Obserwowali piękny zachód słońca.

- Pewnie - przyznała Marissa i uśmiechnęła się. - Ale czuję się doskonale.

Werandę znowu ogarnęła cisza. Tylko Szatan śpiący u stóp swojej pani poruszył łapami, goniąc we śnie jakieś zwierzę.

Jefferson stał oparty o słup. Zachód zachodem, ale i tak jego myśli koncentrowały się wokół siedzącej koło niego kobiety. Kiedy wracali od Eliów, była raczej milcząca, zamyślona, trochę smutna. Z początku myślał, że to z powodu pożegnania z nimi. Ale jej smutek trwał nadal.

Znowu nie zjedli kolacji. Marissa siedziała bez ruchu już od prawie godziny zadumana. Jakikolwiek był tego powód, Jefferson chciał go poznać i pomóc jej, jeśli będzie to możliwe. Usiadł przy niej, objął ją i spytał:

- Czy myślisz o Alejandrze?

Pokiwała głową i przycisnęła palcami skronie, jakby chciała odegnać złe myśli. Odgarnęła włosy i znowu złożyła ręce. Jeffersona ogarnął jej zapach.

To dziwne, ale i jego myśli ciągle odbiegały w stronę tego ciemnowłosego dziecka, z którym dziś się Marissa spotkała.

- Teraz myślisz o nim jeszcze więcej, odkąd wiesz, że jest w pobliżu - ciągnął. - Od razu widać, że bardzo go kochasz.

Marissa złączyła rękę z dłonią Jeffersona.

- Tak. Myślę o nim nieustannie, i zawsze tak było. Ale dzisiejszego wieczora Alejandro przypomniał mi o czymś jeszcze, o czym powinnam ci powiedzieć. O czym powinnam ci była powiedzieć dawno temu.

- Dzisiaj nie jest na to gorszy dzień niż dawno temu.

- Nie wiem. Ale lepiej teraz niż jeszcze później. - Marissa westchnęła smutno. - Wiesz, straciłam dziecko. Twoje dziecko. Poczęło się tamtego dnia, w domku na drzewie. - Jefferson siedział i milczał, znieruchomiały. - Kiedy się o tym dowiedziałam, poszłam powiedzieć Paulowi. Tym razem znowu zwolnił mnie z umowy, ze wszystkich obietnic. Zaczęłam szykować się do powrotu do ciebie. Ale, nie wiadomo czemu, poroniłam. Lekarze nie byli w stanie podać jednoznacznej przyczyny. Stało się to na tyle wcześnie, że nie wiem nawet, czy nasze dziecko byłoby chłopczykiem czy dziewczynką.

- Kiedy je straciłaś, nie było już powodu, żeby do mnie wracać...
- odezwał się z bólem Jefferson. Marissa puściła jego rękę i dotknęła jego twarzy.

- Zawsze był powód, kochanie. Ale...

- „Ale” - przerwał jej Jefferson. - „Gdybym”. Zawsze wymyślasz sobie jakieś „ale” albo „gdym”. Prawda?

- Na to wygląda... - Chciała go przytulić, ale widziała, że to by nie wystarczyło.

- Jaki był powód tym razem? - ironizował ponuro, nie dając jej dojść do słowa. - Niech zgadnę. A więc, kiedy wyszło na jaw, że masz mieć dziecko kogoś innego niż twój mąż, twoja matka zrobiła się jeszcze bardziej chora. Tak bardzo, że kiedy poroniłaś, musiałaś

zostać, żeby jej nie opuszczać w potrzebie. Znowu okazałaś się posłuszną córką. - Cade rozumiał, jak funkcjonowała rodzina Alexandre'ów. Nie było trudno zrozumieć ich samolubny sposób myślenia i życia. Nawet nie znając tych ludzi. - Zapłaciłaś kolejną cenę za to, żeby twoi rodzice wciąż mogli żyć tak jak dawniej.

Marissa miała nadzieję, że Jefferson któregoś dnia zrozumie, że to, co wydawało mu się takie obrzydliwe, było naprawdę normalne w środowisku jej rodziców. Chciała, żeby przekonał się, iż małżeństwo, jakie dla niej zaaranżowali, szczerze uważali za najlepszy prezent dla niej na świecie. Może z czasem Jefferson to pojmie. Ale nie teraz. Nie będzie na razie próżno traciła nerwów na próby wytłumaczenia mu tego.

- Podczas mojej nieobecności w domu stan zdrowia mojej mamy rzeczywiście bardzo się pogorszył, a była chora na serce. Zanim dowiedziałam się, że jestem w ciąży, wiadomość o moim bliskim ślubie z Paulem została już rozgłoszona. Moja matka naprawdę była zbyt słaba, żeby przeżyć skandal związany z zerwaniem naszych zaręczyn.

- Ale gdybyś nie poroniła, twoja matka musiałaby przeżyć ten skandal? Tak czy nie? - Jefferson był przybity. Marissa odwróciła wzrok. Kiedy znów popatrzyła na ukochanego, łzy płynęły jej po policzkach.

- Kochałam moją matkę. Ale gdybym musiała wybrać gdzie chcę żyć, wybrałabym nasze dziecko i ciebie.

Jefferson jęknął i wyciągnął rękę.

- Wiem, kochanie. Rozumiem...

Przytulił Marissę. Widział, że ona także cierpi. Musiała dokonać tylu trudnych wyborów. Była wyjątkowo silnym człowiekiem. Nic jej nie zniszczyło.

Kiedy opuściła go cztery lata temu, była młodą dziewczyną o szlachetnych zasadach, których nie skonfrontowała jeszcze z życiem. Wróciła jako kobieta w żałobie, która przeżyła niejedną tragedię. Ale jako kobieta silna, taka, o której wiedział, że nie opuści go znowu, jeśli nadejdą dla nich ciężkie czasy. Można było jej ufać, cenić ją i kochać.

- To między innymi z powodu naszego straconego dziecka studiowałaś medycynę, a szczególnie położnictwo - stwierdził. Przesunął dłonią po włosach Marissy. Nie gniewał się już.

- Chciałam, żeby innym nie zdarzało się to, co zdarzyło się nam.

- Juan powiedział mi, że uratowałaś przy porodzie Alejandro. I Martę.

- Mieliliśmy wtedy szczęście. Byłam dopiero na początku studiów i nie miałam jeszcze odpowiedniej wiedzy. Ale mimo to udało się. - Marissa ożywiła się. Pewnie z powodu myśli o czarnowłosym chłopcu.

- Alejandro ma jakieś trzy lata, prawda? - zagadnął Jefferson.

- Owszem. Gdyby nasze dziecko się urodziło, byłoby w tym samym wieku. Czy nie gniewasz się, że nie powiedziałam ci o nim wcześniej? - zapytała Marissa, patrząc Cade'owi w oczy.

- Nie. Nie ma za co się gniewać. Smutno mi tylko z powodu tego, co nas ominęło. - Otarł jej łzy. - I żałuję, że nasze stracone

dziecko nigdy nie miało okazji poznać swojej dobrej, wspaniałej matki.

Marissa aż jęknęła z radości.

- Naprawdę za taką mnie uważasz? - upewniła się.

- Nigdy w to nie wątpiłem. Nawet wtedy, kiedy próbowałem cię zapomnieć. Im bardziej się starałem, tym bardziej okazywało się, że to niemożliwe. Nie da się o tobie zapomnieć.

- A kiedy otrzymałeś moją prośbę o pomoc, co myślałeś?

- Od razu wiedziałem, że do ciebie pojedę. To było oczywiste. - Jefferson pocałował Marissę w policzek. - Nie wiem, jakim sposobem twój list do mnie dotarł, ale do końca życia będę się cieszyć, że tak się stało.

Marissa roześmiała się.

- To nie było trudne. Ostatecznie do ciebie wysłała go Eden z Belle Terre. Przygotowałam wiele listów, powkładanych wraz z kopertami jeden w drugi. W każdym z nich prosiłam o odesłanie listu znalezionego w środku następnej osobie, bez otwierania koperty. Zmieniały się tylko szczegółowe instrukcje. Eden przeczytała jeszcze, że proszę ją o wysłanie tego listu tobie tylko pod warunkiem, że jest przekonana, iż chcesz otrzymać wiadomość ode mnie.

- I moja ukochana szwagierka wiedziała, że chcę!

- Być może, gdyby wiedziała, o co cię proszę, w co cię wciągają, nie wysłałaby ci tej przesyłki.

- Wysłałaby. Ale cieszę się, że nie wiedziała, co list zawiera. Lepiej, że nie wiedział tego nikt z twoich pośredników. Nie byłaś pewna, czy każde z nich zrobi dokładnie to, o co prosiłaś.

- To był mój jedyny sposób, a wszystkie osoby w łańcuszku to moje przyjaciółki i przyjaciele.

- Wszystko dobre, co się dobrze kończy.

- Czy to się w ogóle skończy? Nie wiem, czy kiedykolwiek będziemy mogli prowadzić normalne życie. Czy ludzie, którzy nam teraz pomagają, będą żyć spokojnie? - Marissa popatrzyła na grań kanionu. - Co teraz myślą jeźdźcy, którzy pełnią wartę? Czy tęsknią za rodzinami? Za ukochanymi? Gdzie oni właściwie śpią?

- Jake Benedict postawił niedaleko wrót kanionu chatę dla wartowników. Nie ma tam wygód, ale nie jest znowu aż tak, jak na westernach. Ci ludzie są przyzwyczajeni do trudnych warunków; jestem przekonany, że Valentina także. Billy rozplanował im nocne warty tak, że nakładają się na siebie, a z drugiej strony, każdy może się wyspać. Dwie osoby patrolują, jedna śpi. Do tego także są przyzwyczajeni.

- Zastanawiam się, czym zasłużyłam sobie na taką opiekę. Jak długo to może trwać, Jeffersonie?

- Każdy obywatel zasługuje na ochronę. Będzie to trwać tak długo, jak długo okaże się potrzebne. Ale Menendez to też człowiek i prędzej czy później popełni błąd. Wtedy ludzie Simona dopadną go.

- Myślałam nad tym, co stało się po zniknięciu Juana i Marty. Na pewno ktoś się zdziwił, że jednego dnia jeszcze tam mieszkali, a drugiego już ich nie było.

- Nie doceniasz Simona, kochanie. Oto Juan otrzymał wspaniałą ofertę pracy. Ale musiał się spieszyć, żeby mu nie umknęła. Była tak

dobra, że Juan wysłał na estancję ludzi, żeby pozbierali jego rzeczy i pożegnali od niego wszystkich!

- Uważasz, że ludzie w to uwierzą?

- Widziałeś Simona w akcji. Masz wątpliwości, że zorganizował to tak, iż wszyscy wierzą w jego wersję jak w ewangelię?

Marissa uśmiechnęła się.

- Nie mam! wątpliwości. Czasami zapominam, że Simon nie jest supermanem w przebraniu. I że nie jest niezniszczalny.

- Nie jest. Ale dobrze sobie radzi.

Marissa roześmiała się krótko. Potem zmieniła temat rozmowy:

- Zastanawiałam się, jak się poczujesz, jak zareagujesz, kiedy powiem ci o dziecku. Nie wiedziałam.

-I?.

- Odkryłam, że kocham cię bardziej, niż myślałam, że jestem w stanie. O wiele bardziej!

- Na tyle bardzo, że będziemy kochać się dalej, kiedy to wszystko się skończy?

- Oczywiście! Chcę być twoją kobietą, twoją miłością, twoim wszystkim. Na zawsze.

- Ja też chcę być z tobą już na zawsze'. I pragnę mieć z tobą dużo dzieci. A najbardziej małą, ciemnowłosą córeczkę, która będzie jak dwie krople wody podobna do swojej mamusi.

Marissa czuła się jak we śnie. Była bardzo szczęśliwa. Bała się, że taki stan nie potrwa długo.

- Najpierw będziemy mieli chłopca - szepnęła, całując Jeffersona delikatnie. - Każda dziewczynka powinna mieć starszego brata.

- Który dbałby o jej bezpieczeństwo, tak jak Juan dbał o twoje, i opiekował się nią, do czasu, aż w jej życiu pojawi się ukochany.

- Tak jak ty pojawiłeś się w moim życiu. ...Wiesz co? Kochanie? Nie byłam ostatnio przygotowana na seks, a biorąc pod uwagę to, co już raz nam się przydarzyło - nie wiem, czy już nie poczęliśmy kolejnego dziecka. Co byś poczuł, gdyby się okazało, że będziemy mieli dziecko bardzo niedługo?

- Coś takiego. - Z tymi słowami, Jefferson zaczął całować Marissę. Całował ją i całował, a ona całowała jego. W końcu, cofnął się i powiedział: - Można to robić w bardziej wygodnym miejscu.

- Co takiego?...

- Kochać się. Poczynać z tobą dziecko.

- Naprawdę tego chcesz, Jeffersonie?

- Chcę, żeby naprawdę tak było... - odpowiedział Cade nieco innym tonem. Jego uśmiech znikł.

- Boisz się, że Menendez nas znajdzie?

- Nie znajdzie nas. - Jefferson bardzo chciał, żeby ich nie znalazł.

- A jeżeli nas jednak znajdzie i sprawy potoczą się źle?

- W takim wypadku będziemy mieli dla siebie przynajmniej obecny czas.

Wstał i podał Marissie rękę. Pocałowali się jeszcze raz i ruszyli do sypialni.

Następnego ranka Jefferson wstał przed świtem. Ubrał się i zaczął planować niespodziankę dla Marissy, kiedy nagle rozległo się

gwałtowne szczekanie Szatana, a potem tętent galopujących koni. Cade złapał strzelbę, którą cały czas trzymał załadowaną koło drzwi.

Wtedy usłyszał znajomy głos uspokajający psa. Juan Elia wołał Jeffersona. Ten ciągle bał się podstępu. Zgasił światło i wyjrzał ostrożnie przez żaluzje. W jasnej poświacie księżycy zobaczył Juana, Ethana Garretta i Valentine Courtenay - strzelca wyborowego Simona. Marissa wyszła z sypialni, ubrana, z niepokojem wypisanym na twarzy.

- Kto to?

- Juan z dwojgiem naszych wartowników. – Jefferson spojrzął na Marissę i otworzył drzwi. Przybysze wpadli do środka.

- Menendez porwał Alejandra! - wypalił Juan. Wyglądał jak cień człowieka. - Nie wiem, jak to zrobił, ale porwał. Alejandro chciał jechać ze mną sprawdzać ogrodzenie. Marta poszła obudzić go na śniadanie i zobaczyła otwarte okno i puste łóżko: Na łóżku Alejandra leżała ta kartka. - Położył na stole wymięty papier.

- Menendez żąda Marissy w zamian za chłopca - wyjaśnił Ethan. Marissa, blada jak ściana, wyciągnęła rękę i ujęła dłoń zrozpaczonego Juana.

- Jak dawno temu to się stało?

- Marta weszła do pokoju Alejandra nieco ponad godzinę temu.

-Na szczęście Juan pojechał samochodem tak daleko, jak mógł, a potem przesiadł się na konia - odezwała się Valentina. - Rick i ja zobaczyliśmy go. Odnajdziemy Alejandra, obiecuję ci. - Drobna, silna kobieta oparła dłoń na ramieniu Marissy. - Obiecuję wam obojgu - dodała, popatrzwszy na Juana.

- Nie widzieliście nikogo?

- Nie, niestety. Musimy oprzeć się jedynie na tej kartce. Ale dowiemy się więcej. Wkrótce będzie tu Rick z Martą. Obmyślimy wspólnie plan działania.

Odezwał się telefon stojący w sypialni. W dużym pokoju zapadła głucha cisza, podczas gdy Jefferson rozmawiał z kimś.

- To Simon. Był wściekły - odgadła Valentina, gdy wrócił.

- Simon - zgodził się Jefferson. - Dostał sygnał od informatora, że Menendez jest na naszym tropie. Wpadł w furję, stwierdziwszy, że ostrzeżenie przyszło za późno.

- Jak to się stało? Kto wiedział, gdzie są Juan i Marta? - zastanawiał się na głos Ethan. - Skąd Menendez mógł wiedzieć, że może złamać cię, porywając Alejandra?

- I skąd w ogóle wiedział, że Marissa żyje? - dodał zatroskany o dziecko i o nią Juan.

- Źródła, którymi dysponuje Simon, podają, że samolot Reia spadł do parowu i znajduje się prawie w jednym kawałku - wyjaśnił Cade. - To zresztą potwierdzałoby teorię o zestrzeleniu, ewentualnie celowym uszkodzeniu samolotu. To nie była bomba. Jeden z ludzi podejrzewanych o współpracę z Menendezem odnalazł samolot. Być może już od kilku dni Menendez wiedział, że Marissy nie było na pokładzie.

- A skąd wiedział o Juanie? - dopytywała się Marissa.

- W posiadłości twoich rodziców mieszka mała dziewczynka. Leczyłaś ją w tym samym czasie, co Alejandra. W tej chwili ta

dziewczynka nie ma koniuszka jednego palca... Gdyby jej matka nie zdradziła, że żyjesz, z dzieckiem byłoby gorzej...

- Maria. To Maria! - sapnął Juan. - Bawiła się z Alejandrem. - Boże, jeśli Menendez jest w stanie torturować trzyletnie dziecko, co zrobi mojemu Alejandro?!...

- Nic - powiedziała Valentina. - Dlatego, że przed świtem wyruszamy, żeby wytropić Menendeza. Zlikwidujemy go, zanim się zorientuje, że coś mu grozi.

- Na kartce jest napisane, że skontaktuje się z nami przed południem. Podają miejsce wymiany Alejandra na Marissę. - Juan gniótł bezwiednie kapelusz. - Jeśli popełnimy jakikolwiek błąd...

- Nie popełnimy. - Valentina złapała kartkę, zmiała ją w kulkę i cisnęła w kąt.

Wiedziała, że Menendez i tak zamierza zabić Alejandra, jak również oboje jego rodziców. Była jednak szansa, że mu się to nie uda.

- Skąd wiemy, że Menendez w ogóle jest w Stanach Zjednoczonych? - odezwał się Jefferson. - Mógł tylko przysłać ludzi. Skoro Simon depta mu po piętach, niebezpiecznie byłoby dla niego pojawiać się tutaj.

- Jest tutaj i pojawi się na spotkaniu - ocenił Ethan. - Ten człowiek lubi osobiście dokonywać zemsty. Marissa odrzuciła jego zaloty, a on nie toleruje odmowy.

- Nie sądzisz, żeby naprawdę zamierzał puścić Alejandra, prawda?- spytała Marissa.

Ethan milczał chwilę, po czym wzruszył ramionami i odparł:

- Chciałbym móc powiedzieć ci co innego, ale już zbyt wiele razy widziałem skutki zbrodni, które osobiście popełnił.

- Ethan doskonale zna Menendezę i jego sprawy - wyjaśniła Valentina. - Między innymi dlatego został przydzielony do tej sprawy. Dzięki jego wiedzy to my możemy uderzyć pierwsi.

- W jaki sposób? - spytał Rick Cahill, który przybył niedawno z Martą. Marta rzuciła się w ramiona męża.

- Ethan wie, jak myśli Menendez, a do tego Billy Blackhawk dał nam słowo, że Jefferson jest jednym z najlepszych tropicieli w Arizonie.

- Gdzie jest Billy?

- Jedzie tu. Simon go powiadomił. Billy i jego zastępcy zostaną tu z Martą, Juanem i Marissą - wyjaśnił Jefferson;

- Jadę z wami - oświadczyła Marissa. Było jasne, że nie zgodzi się zostać.

- Kochanie, nie możesz... - próbował oponować Cade.

- Mogę i pojedę. Być może najlepsze okażą się negocjacje z Menendezem. Beze mnie nie da się negocjować, bo nie będzie przedmiotu negocjacji.

- Musi być inny sposób - upierał się Jefferson.

- Ona ma rację - zauważyła Valentina. - Nie powinieneś nie doceniać swojej dziewczyny. Do tej pory w każdej sytuacji świetnie sobie radziła, więc poradzi sobie i tym razem.

- No, dobrze - mruknął Jefferson sam do siebie. Marissa i tak już dawno podjęła decyzję.

Wszyscy razem wysłuchali planu Valentyny.

Jefferson przebiegł, przykucnięty, między zabudowaniami rancza, gdzie mieszkali Eliowie, i schował się za skałą. Miał na sobie skórzane ubranie w kolorze ziemi.

Kapelusz zostawił w domu, przewiązał sobie tylko czoło chustką, żeby pot nie ściekał mu do oczu. Buty kowbojskie zamienił na mokasyny, w których poruszał się bezszelestnie.

Po paru chwilach wrócił i zdał raport z tego, co widział.

- Czy myślisz, że jest ich tylko trzech? - spytała Valentina.

- To Menendez i jego dwaj goryle - stwierdził Ethan.

- Nigdzie się bez nich nie rusza.

- Było ich trzech i jechali w stronę starego szybu kopalnianego, na przeciwległym skraju posiadłości. Mało kto wie, że jest tam taki szyb - powiedział Jefferson.

- To znaczy, że Menendez ma informatora na miejscu - oceniła Valentina, przyglądając się uważnie mężczyznom, z którymi pracowała. - Macie jakieś sugestie? Zresztą, tym zajmiemy się później. Na razie trzeba odbić i Alejandra. Marisso, czy jesteś gotowa na wypadek, gdy-byśmy cię potrzebowali?

- Tak.

- Ruszamy. Przez wzgląd na śmierć najbliższych Marissy, na Alejandra, i na wszystkie dzieciaki w Ameryce, które mogą kiedyś zażywać narkotyki sprowadzane przez Menendeza.

Ani Jefferson, ani Ethan nie mylili się. Przed dziesiątą ścigający zobaczyli w skąym cieniu starego szybu Menendeza i jego dwóch ochroniarzy.

Musiało być im niesłychanie gorąco, i to niepokoiło

Jeffersona jeszcze bardziej. Skoro człowiek o takiej władzy i fortunie z własnej woli decydował się na tak nieznosne warunki, to znaczyło, że żądza zemsty ogarnęła go całkowicie.

- Jesteś pewna, że to najlepsze rozwiązanie? - spytał Valentine.

Składała swój snajperski karabin. Podniosła wzrok na Cade'a. Pomyślał, że jeszcze nigdy nie widział tak spokojnej, stanowczej i zdecydowanej kobiety. Oprócz Marissy.

- Nie można wątpić w powzięty plan, bo wtedy popelnia się błędy - pouczyła go doświadczona kobieta-żołnierz. - Jeśli choć jedno z nas uważa go za niewykonalny, nie powinniśmy w ogóle próbować, bo poniesiemy klęskę. To jak?

- Wykonujemy plan - zdecydowała Marissa. - Nie ma innego sposobu. - Odwróciła się do Cade'a. - Kocham cię, Jeffersonie. Chcę spędzić z tobą życie, życie wolne od lęku i od poczucia winy. Chcę mieć z tobą dzieci, takie jak Alejandro; chcę, żeby ten malec był ich przyjacielem, starszym bratem. Nic z tego, co wymieniłam, nie uda się, jeśli nie wykonamy naszego planu.

- Nie boisz się, kochanie? - spytał Cade.

- Boję się. Ale jeszcze bardziej bałabym się nie zrobić tego, co trzeba.

Jefferson pokiwał głową. Czuł, jak niewypowiedzianie mocno kocha Marissę.

- Pocałuj mnie na szczęście i zaczynamy - powiedziała, wyciągając do niego ręce. - Cokolwiek się stanie, zaopiekuj się Alejandrem. Obiecuj mi to.

- Obiecuję.

Rick i Ethan zajęli już swoje pozycje. Marissa zeszła na swoją. Valentina pozostała z Jeffersonem. Wszystko zależało od niej.

- Traf, Valentino - odezwał się Jefferson.
- Mam zamiar trafić - uspokoiła go.
- Mówisz, jakbyś była bardzo pewna swego.
- Nie wolno mieć wątpliwości, kiedy robi się to, co ja.
- Czy kiedyś chybiłaś?
- Raz. - Na twarzy Valentiny odmalował się ból.
- Dlaczego?
- Zawahałam się przez ułamek sekundy.
- I co się stało?
- Mój ukochany został trafiony.
- Ale zabiłaś tego, który do niego strzelił?
- Tak.
- A co z ukochanym?
- Umarł na moich rękach. Ale dzisiaj nie zawaham się i trafię. I

nikt z nas nie umrze.

Jefferson poszedł zająć swoją pozycję. Poruszał się cicho jak duch. Położył się na skale ponad szybem. Nie widział stąd nikogo. Musiał ufać, że Ethan i Rick byli na miejscach. Że Valentina zobaczy, co trzeba, i trafi.

Usłyszał żalospny płacz dziecka. Zaraz potem zobaczył Marissę. Wyszła na otwartą przestrzeń i zaczęła wołać Menendezę. Drwiła z niego.

Zbliżył się do niej wysoki, ciemnowłosy mężczyzna, trzymający na rękach Alejandra. Menendez. Przykładał dziecku pistolet do głowy.

Wtedy rozległ się z boku głos Ethana. Menendez zaczął odwracać się odruchowo, zamarł na chwilę, domyślając się pułapki.

Kolejne wydarzenia rozegrały się błyskawicznie, przebiegły praktycznie w jednej chwili. Coś skoczyło w stronę Marissy. Rozległ się strzał, potem drugi i kilka rykoszetów. Marissa padła na ziemię, za ciemny kształt, który do niej przypadł. Nastąpiła złowroga cisza i bezruch, tylko Alejandro płakał.

RS

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

W domu na ranczu Broken Spur panowała radość. Świętowano ocalenie i powrót do rodziców Alejandra Elii. Wciąż trochę wystraszony chłopczyk siedział na kolanach Marty; przytulała go czule.

Pozostali rozmawiali, śmieli się nawet; Jefferson siedział samotnie i tylko słuchał. Rozmyślał.

Valentina trafiła, jak obiecała. Zabiła Menendezę. Jego dwaj goryle zostali obezwładnieni i aresztowani. W pobliże szybu przyjechał bowiem także Billy Blackhawk ze swoimi ludźmi.

Opryszkowie Menendezę nie rozpaczali po jego śmierci; natychmiast zaczęli opowiadać wszystko o nim i jego działalności. Szeryf słuchał uważnie. Notowano wszystko, póki była okazja.

Marissa siedziała z Szatanem przy boku. Doberman, po raz pierwszy od czasu, kiedy był szczeniakiem, nie posłuchał Jeffersona. Miał zostać w domu, ale po kryjomu podążył za ludźmi, za Marissą. Skoczył ku niej akurat w kulminacyjnym momencie.

Jefferson i Marissa popatrzyli sobie w oczy. Jefferson czuł się rozbity. Ona patrzyła z miłością. Była dla niego najpiękniejszą kobietą na świecie. A podłużny siniec na jej" twarzy, sięgający od czoła, przez skroń, aż ku policzkowi, czynił ją jeszcze piękniejszą, ponieważ przypominał o jej odwadze.

Cade nie był jednak w stanie się uśmiechać. W jego umyśle ciągle na nowo rozlegał się strzał oddany przez jednego z bandziorów

Menendeza. Jefferson pamiętał ten przerażający moment o wiele dobitniej niż ten, kiedy skoczył naprzód i wyrwał Alejandra z rąk padającego na ziemię mafiosa.

- Jak to się stało? - zapytał w końcu, kiedy akurat zapadła cisza.

- Jakim sposobem Menendez odnalazł Juana i Martę? Kto był informatorem? Po co te wszystkie zabezpieczenia, skoro Menendez i tak nas odnalazł?

- Może to po prostu pech? Tak bywa z większością nieudanych akcji - odpowiedziała Valentina. - Nie wiemy, co się stało. Ale podejrzewam, że, zupełnym przypadkiem, ktoś w którymś momencie niepotrzebnie powiedział coś nieodpowiedniej osobie, może nawet całkiem nieświadomie. To się zdarza w tajnych operacjach, i potrafi zamienić je w klęski. Można przenieść człowieka z Florydy do lasów Idaho, stworzyć dla niego nową tożsamość, wyrobić mu wszystkie dokumenty na nowe nazwisko, zapewnić miejsce pracy w zupełnie innym niż dotąd zawodzie. A potem, któregoś dnia, rok albo dziesięć lat później, ten człowiek nagle zostaje przypadkiem dostrzeżony przez dawnego kolegę ze szkoły. I już jego życie znowu wisi na włosku.

- Ale jak Menendez nas znalazł? - dopytywała się Marta.

- Nie wiem. Być może nigdy się nie dowiemy. Ale możesz być pewna, że będziemy się bardzo starali natychmiast tego dowiedzieć.

Jefferson nie był już w stanie dłużej tego słuchać. Musiał wyjść.

- Kochani, naprawdę, tak mi przykro, że Alejandra spotkało coś takiego, i cieszę się, że nic mu się nie stało. Wybaczcie, muszę pójść zobaczyć, co z końmi. - Ruszył do drzwi. Szatan podniósł się. - Zostań - rzucił Cade. Ruszył do stajni, ponury.

Kończył ostatnią z kilku długich, niepotrzebnych prac, jakie wymyślił sobie w stajni. W pewnym momencie weszła Marissa i położyła dłoń na jego ramieniu.

- Jeffersonie...

Wyprostował się, uniósł głowę i patrzył w sufit, oddychając nierówno.

- Dobrze się czujesz? Martwiłam się o ciebie. Nie jesteś ranny?

- Nie. Nawet dłoń mi się zagoiła.

- To co się stało? Milczał.

- Juan, Marta i Alejandro pojechali do domu samochodem z Valentina. Valentina skontaktuje się z Billym, a potem wyjedzie, tak samo Rick i Ethan.

Jefferson patrzył na Marissę. Miała na sobie tę domową sukienkę i pachniała kusząco. Chciał ją całować. Siniak na jej skroni uświadamiał mu, że omal nie zginęła.

- Pozostały jeszcze sprawy prawne - ciągnęła. - Valentina uważa, że wezwą nas na świadków, kiedy będzie się odbywał proces ochroniarzy Menendezów. Ale to nie nastąpi tak zaraz. Jesteśmy wreszcie wolni.

- Wolni?

- Możemy robić, co chcemy. Pojechać, dokąd chcemy. Nie oglądać się za siebie.

- Czy wrócisz do Argentyny?

Pytanie zaskoczyło Marissę. Wiedziała, z kim chce żyć, wszystko jedno, gdzie.

- Chciałabym wrócić - zastanowiła się na głos. - Właściwie nawet powinnam, żeby zrobić coś z estancją rodziców i resztą majątku. Ale pojedę tam tylko z tobą.

- Ja nie mogę jechać - oświadczył grobowym tonem Cade. - Najwyraźniej mam skłonność do sprawiania zawodu ludziom, których kocham. Najpierw zawiodłem Adamsa, który przeze mnie siedział parę lat w więzieniu. Później zawiodłem ojca. A teraz - ciebie.

- Nie zawiodłeś mnie. - Marissa chwyciła jego dłoń i przycisnęła ją do swojego policzka.

- Popeniłem dzisiaj błąd. Był taki moment, kiedy...

- Każdy dzisiaj przeżył jakiś kluczowy, dramatyczny moment. Rick, Ethan, Valentina. Myślisz, że jej strzał nie mógł odnieść innego skutku? Ale żadne wątpliwości nie przeszkodziły nam w wykonaniu tego, co zaplanowaliśmy. A ty zastanawiasz się, co by było, gdyby. Uratowałeś dzisiaj dziecko i mnie. - Marissa całowała palce Jeffersona.

Zamknął oczy. Odwrócił się, ponieważ okropna scena z niedawnej przeszłości rozegrała się natychmiast przed nimi jeszcze raz. Patrzył przez okno. Kanion przetrwał. Jak przez tysiące lat. Słońce zachodziło. Nazajutrz wstanie.

Zacznie się nowy dzień, jego nowy dzień, jego przyszłość. Zrobi z nią, co mu się uda.

- Ale i tak zawiodłem - powiedział. Marissa pieściła go delikatnie.

- O co ci chodzi? - spytała. - Co cię martwi? Chcę ci pomóc.

Przytulił ją nagle mocno, uśmiechnął się smutno i przyciskając usta do jej włosów, odpowiedział:

- Bałem się dzisiaj. Sam miałem ochotę stanąć oko w oko z Menendezem, ale wiedziałem, że dla dobra Alejandra ty musisz to zrobić. Moje serce nie chciało jednak tego przyjąć, i okropnie bałem się o ciebie. Kiedy patrzyłem, jak idziesz w kierunku tego zbrodniarza...! Aż do dziś dnia nie wiedziałem, że miłość może oznaczać taką udrękę. Usłyszałem świst kuli i zobaczyłem, jak padasz... Boże, nigdy w życiu nie czułem się taki bezradny! Gdyby nie Szatan...

- Ćśś!... - uspokoiła Marissa, kładąc palec na ustach Jeffersona. - Wiem, kochanie, jak to boli, kiedy patrzy się, jak człowiek, który jest dla ciebie wszystkim, stawia czoło śmiertelnemu zagrożeniu. Znam to przerażenie. I wiem, że im silniej się kocha, tym bardziej się w takim momencie cierpi. - Głaskała go dalej. - Ale fakt, że się czasem cierpi, nie oznacza, że nie powinniśmy kochać. Prawdziwa miłość jest zbyt cenna. Z twojego pokoju jest piękny widok na kanion. - Marissa objęła Cade'a za szyję. - Czy kiedykolwiek kochałeś się tam o zachodzie słońca?

- Jeszcze nie. - Jefferson musiał się roześmiać. - Zrobię to zaraz, jeśli moja kobieta ma na to ochotę.

- Och, ma! Pod warunkiem, że zapomnimy o dzisiejszych smutnych wydarzeniach i uznamy je za coś, co pomogło nam kochać się jeszcze mocniej i być silniejszymi ludźmi.

- Silniejszymi!... - powtórzył Cade. Tego dnia dostał od Marissy lekcję siły.

Objął swoją ukochaną i powiedział:

- Ale i ja stawiam ci warunek.
- Mów. Spełnię każdy, ponieważ ci ufam.
- Skoro spełnisz każdy warunek, właśnie zgodziłaś się zostać moją żoną, na zawsze.

Ruszyli do sypialni.

Następnego ranka Jefferson kończył szykować niespodziankę, którą zaplanował dla Marissy, kiedy zadzwonił telefon. Oglądał właśnie swoje dzieło, kiedy z sypialni wyszła Marissa z Szatanem przy boku.

- Dzwonił Billy. Wyjaśniło się, w jaki sposób Menendez nas znalazł.

- Simon do tego doszedł? Czy sam Billy?
- Cristal do tego doszła.
- Cristal? Billy w ogóle z nią nie rozmawia, chyba że krzyczy.
- Ale wyjaśniła sprawę.
- Jak to się stało?

- To tylko jej podejrzenia, ale na pewno trafne, biorąc pod uwagę wszystko, co się zdarzyło. Tuż przedtem, zanim Paulo i moi rodzice wsiedli do samolotu, pilot poprosił jednego z mechaników o sprawdzenie opony. Ten mechanik zapamiętał, że było tylko troje pasażerów. Słyszał, jak mówili, że ja mam dolecieć do nich później.

- I komu o tym powiedział? W jakich okolicznościach?

- Ludziom, z którymi pił akurat w barze. Po tym, jak podano, że znaleziono samolot w parowie. Nie wiadomo, kto usłyszał jego słowa

i kto komu je powtarzał. W każdym razie dotarły do jednego z ludzi Menendeza.

- To ma sens. A kiedy Menendez dowiedział się, że żyjesz, rozpoczął poszukiwania.

- Owszem. Zniknęłam, w samolocie mnie nie było. Poszukali więc w majątku moich rodziców. Natychmiast stwierdzili, że sprawa ma związek ze zniknięciem Juana i Marty. Wszyscy w estancii wiedzieli, że od lat przyjaźniłam się z Juanem. Wypytywali matkę małej Marii i obcięli dziewczynce koniuszek palca. Przeze mnie.

- A skąd dowiedzieli się, że jesteśmy w Arizonie?

- Pewnie wiesz, że Billy chciał zlikwidować szlak przerzutu narkotyków od granicy meksykańskiej do Silverton. Niewykluczone, że łącznik szajki w Silverton był powiązany z Menendezem. A jednocześnie pochodził stąd i znał teren, starą kopalnię.

- Co wydedukowała Cristal?

- Wkrótce po swojej zaskakującej wizycie w Bröken Spur Cristal usłyszała, jak jeden z zastępców Billy'ego wygadał się w saloonie. To nowy funkcjonariusz; chciał zrobić wrażenie na kobiecie. Cristal kazała mu się zamknąć. Niestety, zdążył powiedzieć, że widział przybyszów z Argentyny, jak robili zakupy. Dał do zrozumienia, że z ich przyjazdem wiąże się pewna tajemnica.

- Nic dziwnego, że Menendez wszystkiego się dowiedział - skwitował Jefferson. - Szkoda, że Cristal wcześniej nie przyszło do głowy, że gadatliwość zastępcy szeryfa może mieć aż takie skutki.

- Niestety. Cała historia przypomniała jej się dopiero wtedy, kiedy Billy przywiózł do miasta zwłoki Menendeza i dwóch skutych bandziorów.

- Valentina miała rację. Wystarczy wygadać się przypadkiem komukolwiek, a nawet najbardziej misterny plan może legnąć w gruzach.

- Nie mogę odwrócić biegu wypadków - zmieniła temat Marissa.
- Ale jestem w stanie zapewnić okaleczonej Marii lepsze miejsce do życia. Teraz estancia należy do mnie. Możemy razem pomóc dzieciom takim jak Maria.

- Jak myślisz, co zrobią Eliowie?

- Mam nadzieję, że zostaną tu, blisko nas. Ale jeśli wrócą do Argentyny, podaruję im część estancii; kiedyś odziedziczy ją Alejandro.

- Pokażę ci, czego ja chcę - powiedział Jefferson. Zaprowadził Marissę do kominka. Zobaczyła swój namalowany portret. Wyglądała na nim tak jak przed czterema laty. Był świetny.

- Kiedy to namalowałeś?!... - wydobyła z siebie.

- Jakiś rok temu, tu, w Broken Spur.

- Zdołałeś namalować coś takiego z pamięci?!

- Miałem szkice. - Rzeczywiście, szkicował ją niegdyś wielokrotnie. Ale i tak musiał przez cały czas bardzo dokładnie ją pamiętać.

- Brak mi słów na opisanie tego, jak się cieszę i jaki to wspaniały portret!

- Nie musisz mi tego opisywać. Za to chcę, żebyśmy któregoś dnia doczekali się córeczki, która dorośnie i będzie tak odważna jak ta pani na portrecie.

Marissa uśmiechnęła się. Kiedyś powie Jeffersonowi, że jej trzecim życzeniem w dniu, kiedy wrzucała do wody kamyki, było to, żeby mieli z Jeffersonem wspólne dziecko.

Marissa czyściła Bonitę w stajni. Jefferson naprawiał uprząż. Minął już prawie tydzień od śmierci Menendeza. W pewnej chwili odezwał się telefon. Cade odebrał.

- Co się stało? - spytała Marissa, kiedy wrócił do niej.

- Nowe wiadomości. Chyba dobre. Przejdźmy się. - Wyszli na dwór i ruszyli przez wysoką trawę. Strumień błyszczał w słońcu. Kanion pysznił się pięknem.

- Wracają Steve i Savannah - zakomunikował Jefferson. - Chcą, żeby mała Jakie zdążyła na rozpoczęcie roku szkolnego.

- Czy przeniesiesz się z powrotem do Rafter B?

- Sandy zapewnił, że zawsze czeka tam miejsce dla mnie. Steve mówi, że znajdzie się dla mnie dość pracy tutaj, ale wątpię, żeby tak naprawdę tego chciał. Na pewno będą woleli mieszkać w Broken Spur we dwoje z Savannah.

- Co zrobisz?

- Chciałbym wrócić do Belle Terre. Myślałem nad tym od paru dni. Co byś powiedziała na to, żebyśmy pobrali się w ogrodzie Eden? A potem, żebyś kontynuowała studia medyczne? Mam trochę pieniędzy, których nie ruszałem. Dostałem je w prezencie od Adamsa.

Moglibyśmy kupić sobie ranczo. Albo mógłbym utrzymywać się z malowania. Mamy tysiące możliwości.

Marissa tak bardzo pragnęła, żeby Jefferson odnalazł spokój ducha i był w stanie normalnie kontaktować się z braćmi.

- Czy jesteś w stanie tam wrócić? - upewniła się.

- Tak, teraz już tak. - Nauczył się ostatnio, że niektóre poświęcenia w ludzkim życiu są nie tyle utratą czegoś, co wyrazem miłości do drugiego człowieka. Miłości, której nie powinno zakłócać niczyje poczucie winy. - Muszę powiedzieć kilka ważnych rzeczy Adamsowi. Mówiąc w największym skrócie, powiem mu, czego nauczyła mnie nasza - twoja i moja - miłość.

Marissa popatrzyła na Jeffersona i pojęła, że nareszcie, po raz pierwszy odkąd go znała, nie dręczą go żadne przykre myśli. Czowała się bardzo szczęśliwa, szczęśliwa jak nigdy w życiu. Bowiem ona także nauczyła się rozróżniać miłość od obowiązku i honoru. Jako dziecko wypełniała obowiązki dobrej córki. Jako żona Paula, dotrzymała złożonej mu obietnicy i dbała o jego honor. A jako ukochana Jeffersona... To miłość okazała się dla niej największym prezentem, jaki otrzymała w życiu.

- Czy będziesz żałować, jeśli tam wyjedziemy, kochanie? - zapytał.

- Będę tęsknić za tym pięknym miejscem, za Juanem, Martą i Alejandro. Ale będziemy mogli często ich odwiedzać. A może pojechaliby z nami? A co będzie z Szatanem?

- On będzie jeździł z nami nawet na koniec świata

- W takim razie nie będę niczego żałować. - Marissa uśmiechnęła się i pocałowała Jeffersona. - Kocham cię.

Jej łagodnie wypowiedziane słowa zapowiadały nowe życie. Teraz już nic nie zmąci ich miłości, nie zawróci ze wspólnej drogi, którą podążali w przyszłość.

RS